



GŁOS NAUCZYCIELSKI

ROK LXXVI

NR 32 ● 8 VIII 1993 r.

CENA 5500 ZŁ

Satanizm jest religią uważającą
Lucyfera za anioła Dobra, a Jeho-
wę za anioła Zła

4

Encyklopedia powstała w środo-
wisku niezależnym od ekip rzą-
dowych i aktualnej polityki oświa-
towej

5

Najważniejszy dla jakości wina
jest moment fermentacji — z po-
bytu na Węgrzech

7

W którym cywilizowanym pań-
stwie nauczyciel ma tak niską pen-
sję? — z listu czytelnika do redak-
cji

9

WAŻNE TO JE, CO JE MOJE



Fot. Jan Balana

REPRYWATYZACJA À LA ROZALIN

Aż strach pomyśleć co czeka szkoły, domy dziecka, domy spokojnej starości, ośrodki zdrowia, a także niektóre urzędy gminne, kiedy reprivatyzacja à la Rozalin Mały znajdzie swych naśladowców. Po tym co zobaczyłam i czego doświadczyłam w tej odległej zaledwie o 30 km od Warszawy wsi spowodowało, iż na następny tego typu reporterski zwiad nie wybiorę się już tylko z magnetofonem. Zaopatrzę się w pistolet, kamizelkę kuloodporną, a przedtem zapiszę się na kurs kickboxingu.

NIE ma w tym stwierdzeniu żadnej przesady czy nadmiaru fantazji. To bowiem, że udało mi się w miarę szybko sforsować bramę i wejść na teren ośrodka nie oznacza, że mogłam spokojnie porozmawiać z opiekunami 52 dzieci tam właśnie wypoczywających. Kiedy próba odciągnięcia mnie od nich, a następnie wyekspediowania za bramę nie powiodła się, co parę minut rosły młodzian grzecznie, lecz stanowczo żądał, abym opuściła teren. Argumentacja, że interesuje mnie to, jak wypoczywają tu dzieci z warszawskich pogotowi opiekuńczych i co dzieje się z 19 pracownikami Centralnego Uniwer-

sytetu Ludowego widać pomieszała nieco plany urzędującego na balkonie szefa eskortujących mnie młodzieńców. Jednak zastosowano wobec mnie terror psychiczny — przydzielony mi ochroniarz chodził za mną krok w krok (nawet do toalety) i co parę minut przypominał o opuszczeniu ośrodka. W tych warunkach trudno o spokojną pracę, szczególnie gdy ma się świadomość, że sympatyczni skądinąd chłopcy w poczuciu obowiązku wobec pracodawcy gotowi są spełnić każde jego polecenie.

W tym miejscu pragnę poinformować, iż jak dotąd Ministerstwo Rolnictwa już w 160 przypa-

dkach anulowało decyzję swego poprzednika sprzed blisko półwiecza o parcelacji majątków ziemskich. Na przejętych przez skarb państwa ziemiach znajdowało się około 16 000 dworów i pałaców. W części z nich, z reguły w nieco lepszym stanie, urządzano szkoły, internaty, oddawano je w użytkowanie ludziom starym, chorym, a także miejscowej władzy.

NOCNY ŁOMOT

O tym, że ochroniarze z „Lancy” nie tylko depczą po piętach, ale wylamują także drzwi i zamki, rwą kable telefoniczne i wypędzają człowieka w środku nocy z domu, w którym jest zameldowany, przekonać się mógł zastępca dyrektora CUL w Rozalinie **Kazimierz Jaszcz**. Ten nie pierwszej już młodości człowiek związany z ruchem uniwersytetów ludowych od 32 lat,

Wakacyjne przyjazdy polskich nauczycieli zza wschodniej granicy stały się już tradycją. Przyjeżdżają na kursy doskonalenia zawodowego, ale tak naprawdę po to, żeby nasycić się polskością.

NIE ZRÓBCIE NAM ZAWODU

WITOLD
SALAŃSKI

W ŚRÓD 54 pedagogów, którzy w lipcu przebywali w Warszawie na kursie metodycznym, zorganizowanym przez Centralny Ośrodek Doskonalenia Nauczycieli, było 29 polonistów z Litwy. Towarzyszyła im **Alicja Barbara Kosinskiene**, starsza specjalistka do spraw szkolnictwa polskiego w Ministerstwie Kultury i Oświaty Litwy. Przywiozła optymistyczne i pocieszające wieści. Oświata polska przeżywa nad Wilnią okres bujnego rozwoju. Do 148 polskich szkół uczęszcza 14 tysięcy dzieci. Pracuje w nich ponad tysiąc nauczycieli, w tym 150 polonistów.

Dobiega końca budowa dużej szkoły polskiej na nowym osiedlu Justyniszki w Wilnie. Placówki polskie powstają także z przekształcania tych szkół rosyjskojęzycznych, do których w większości uczęszczają Polacy. Klasy nauczania początkowego są już polskie. W klasach starszych nauka będzie się odbywała po rosyjsku tak długo, aż ostatni rocznik opuści szkołę.

— To nie znaczy, że nie mamy kłopotów — mówi Alicja Kosinskiene. — Brakuje nam nauczycieli przedmiotowców po studiach. Proces odradzania się szkolnictwa polskiego jest tak gwałtowny, że nie nadążamy z kształceniem kadr. Nauczyciele uczą się więc razem z uczniami. W tej sytuacji nieoceniona stała się pomoc, zwłaszcza Wspólnoty Polskiej. Za jej pośrednictwem otrzymujemy podręczniki i książki, bez których niewiele byśmy wskórali. W związku z tym, że w roku szkolnym 1994-95 polskie szkoły na Litwie przejdą na nowy program nauczania, trwają obecnie prace nad nowymi podręcznikami. Piszemy je wspólnie z autorami polskimi. Na przykład podręcznik literatury polskiej dla najstarszych klas przygotowuje między innymi profesor Uniwersytetu Warszawskiego, Andrzej Makowiecki. Nauczyciele różnych przedmiotów z polskich szkół uczestniczą w tych pracach w charakterze konsultantów. Informują autorów

6

8

SZCZERZE
I DRAMATYCZNIE

— Widziałem list ZNP do wicepremiera Łączkowskiego w sprawie zatwierdzenia projektu nowelizacji ustawy oświatowej na KSERMIE i w związku z tym muszę państwu powiedzieć, że już na wstępie tamtego spotkania mówiłem, że bardzo nam zależy by ten dokument był skonsultowany ze Związkiem, zatem uważałem, to za rozmowy wstępne.

Takim oświadczeniem minister **Zdobysław Flisowski** rozpoczął oficjalne, lipcowe spotkanie kierownictw — czwarte w tym roku kalendarzowym — i dodał, że jednak wicepremier Paweł Łączkowski nadal uważa, iż nie wszystkie prace, które rząd wykonuje, muszą być od razu przedstawione do konsultacji.

— Dziękuję za szczerość; jednak to nie zmieni naszego stanowiska i protestu w sprawie metody pracy nad projektem nowelizacji ustawy, podobnej do zatwierdzonego przez Radę Ministrów dokumentu „Dobra i nowoczesna szkoła” — takich metod nie akceptujemy — odpowiedział prezes **Jan Zaciura**.

Zgodnie z ustalonym w maju terminem, sześcioposobowy zespół pod kierownictwem prezesa ZG ZNP spotkał się 29 lipca z kierownictwem MEN. Natomiast ustalony wówczas temat rozmów — zmiany w zarządzaniu oświatą i ustroju szkolnym — nie okazał się niemożliwy do przeprowadzenia, głównie z powodu niedostarczenia ZNP przez MEN projektu nowelizacji ustawy o systemie oświaty w wersji przygotowanej na Komitet Społeczny Rady Ministrów. Na spotkaniu dowiedzieliśmy się, że taki projekt gotowy był w ministerstwie ostatecznie 10 lipca, możliwe zatem mogło być przedstawienie tej wersji Związkowi przed posiedzeniem KSRR — 16 lipca. Jednak przyjęta przez rząd metoda pracy nie przewidywała zasięgnięcia opinii ZNP przed tym posiedzeniem. Zatem dopiero na spotkaniu 29 lipca strona związkowa otrzymała projekt dokumentu nowelizacji, w związku z czym większą część obrad wyczerpało omówienie przez wiceministra **Kazimierza Marcinkiewicza** zmian uzasadnień do poszczególnych artykułów. Oczywiście nie obeszło się bez gorących uwag, ale termin konsultacji tego projektu został ustalony na **21 sierpnia br.**

Jednak zanim doszło do tej dość spokojnej wymiany zdań, miało miejsce jeszcze jedno dramatyczne spięcie, które wywołał temat ekonomiczny. Prezes Jan Zaciura przypomniał, że w dwóch protokołach ze spotkań ZNP z delegacją rządową zapisana jest dyspozycja, by po 20 lipca, kiedy znany będzie komunikat GUS o I półroczu, spotkał się zespół rządowo-związkowy

do przeanalizowania budżetu za I półrocze i poszukiwania ewentualnych środków na zwiększenie wynagrodzeń od 1 września. Minęło już dziewięć dni od ustalonego terminu i ZNP dłużej czekać nie może.

— W związku z tym mamy propozycję, a właściwie żądanie — mówił prezes — by ten zespół zebrał się jutro.

— Jutro to nie — bez pistoletu, panie prezesie — odpowiada minister.

— Dla nas to zbyt ważna sprawa, czas leci, a nam zależy, by nowy rok szkolny rozpoczął się spokojnie — ripostuje prezes.

— W takim razie niech pan napisze odręczne pismo do wiceministra Łączkowskiego z żądaniem natychmiastowego spotkania zespołu, a ja sprawię, że ten list znajdzie się zaraz na stole premiera — kontynuuje wymianę zdań minister.

List został napisany. Pan minister przesłał go faksem i po rozmowie z wicepremierem Łączkowskim — wszystko w trakcie spotkania — przekazał kierownictwu ZNP od wicepremiera informację, że trwa właśnie ustalanie terminu z ministrem finansów i pracy. Jednak do końca spotkania ten termin nie został przekazany.

Natomiast został ustalony inny termin — spotkania zespołu roboczego w sprawie realizacji podwyżek płac pracowników oświaty od 1 września, czyli podwyżek wynikających z budżetu na ten rok. Termin ten, czyli 5.08. br. pozwala na to, by wszelkie prace przeliczeniowe związane z podwyżką mogły być gotowe do września. Gdyby natomiast w trakcie poszukiwań pieniędzy w zespole rządowo-związkowym znalezione zostały jakieś środki dla pracowników oświaty, to zostaną one wypłacone niezależnie od wrześniowych uregulowań.

Wiceminister Marcinkiewicz poinformował, że na KSRR rozpatrywany był jeden dokument — nowelizacja ustawy o systemie oświaty w zakresie zarządzania oświatą, co stanowi przygotowanie do stycznia 1994 r., i przekazanie prowadzenia szkół gminom. W tym pakiecie jest także projekt ustawy o finansowaniu gmin, który dotyczy oświaty w dwóch częściach — w części wyznaczającej subwencje dla gmin i w części wyznaczającej inwestycje gmin. Drugą sprawą jest projekt statusu nauczyciela, który jeszcze nie znalazł się w pakiecie, ale prace nad nim są na ostatnim etapie rozmów z Ministerstwem Finansów, ponieważ wynika z niego wiele skutków finansowych. Dopiero po zakończeniu tych rozmów projekt statusu nauczycieli i stosunków służbowych będzie w MEN zakończony. Równocześnie

legle do prac w rządzie, toczy się dyskusja we wspólnej komisji rządowo-samorządowej, powołanej przez panią premier. Będą tam konsultowane wszystkie sprawy dotyczące samorządów. Ponieważ pojawiły się kontrowersje wokół rozstrzygnięć w oświacie, ministerstwo czeka do końca tego tygodnia na ostateczne decyzje.

Tę część rozmów, typowo informacyjną, wice-minister Marcinkiewicz spuentował stwierdzeniem, że strona ministerialna chce dyskutować z ZNP o proponowanych zmianach, bowiem wie, że ma w nim partnera, który zna się na oświacie, potrafi wskazać nieścisłości, bądź wręcz zagrożenia wynikające z zapisów. Wiceprezes **Ryszard Łepik** zarzucił jednak MEN, że nie wywiązuje się z parafowanego między stronami układu zbiorowego, głównie w części finansowej, co Związek traktuje jako niedotrzymanie umowy. Dotyczy to zwłaszcza nowych propozycji MEN, przedstawionych w czerwcu tego roku.

— Gdyby ministerstwo skierowało wówczas do nas oficjalne pismo, w którym poinformowałoby, że wskutek niemożności zrealizowania rozwiązań zawartych w układzie zbiorowym, musi przedstawić inne propozycje — to byłaby

to zupełnie inna sytuacja — powiedział wiceprezes. — Ta droga nie została zamknięta i apelowałbym o takie rozwiązanie — dodał.

Wiceminister Marcinkiewicz przyznał, że takie pismo powinno powstać, jednak uważa, że MEN jest lojalnym partnerem i fakt o parafowaniu układu zbiorowego traktuje bardzo poważnie. Dlatego mimo nacisków ze strony rządu — MEN żadnych zmian w tym roku nie zamierza dokonać. Natomiast wszystkie nowe propozycje, które znajdują się w fazie dyskusji, ministerstwo chciałoby zaprezentować jako pakiet ustaw o budżetowych na następny budżetowy rok.

— Jeżeli wszystkie rozwiązania dotyczące oświaty zostaną zawarte w pakiecie i dołączone do ustaw o budżetowych — to liczyć się z naszą kontrą. Może się tak zdarzyć, że znowu jednym głosowaniem przyjęte zostaną tak ważne i różne decyzje o losach nauczycieli — odpowiedział prezes Zaciura.

— Panie prezesie, to już jest kampania wyborcza, a ja jako członek rządu nie prowadzę na razie kampanii — odparł wiceminister. Mogę tylko powiedzieć, że rząd zdecydował się na zmianę konstruowania budżetu państwa.

Spotkanie zakończyło zobowiązanie ministerstwa, że w najbliższym czasie przekaże do konsultacji ZNP projekt ustawy o finansowaniu gmin — który ma szczególne znaczenie w świadczonych finansowych państwa wobec nauczycieli samorządowych. Do rozstrzygnięcia pozostał dylemat, czy ZNP opinii o projektach ma przedstawić MEN, czy już Radzie Ministrów.

LIDIA JASTRZĘBSKA

ANEKS
DO ROZALINA

Tuż przed oddaniem tego numeru „Głosu” do druku, a w jedenaście dni po zajęciu siłą siedziby Centralnego Uniwersytetu Ludowego w Rozalinie, usiłowaliśmy się dowiedzieć jak dalece zainteresowanie tą bezprecedensową sprawą wykazali prezydent i pani premier. Z prośbą taką zwrócili się bowiem do Lecha Wałęsy i Hanny Suchockiej: Rada Nordycka Uniwersytetów Ludowych, Stowarzyszenie Polskie Uniwersytety Ludowe, a także wójt w gminie Nadarzyn.

Niestety, mimo wielokrotnych kontaktów telefonicznych zarówno z Biurem Prasowym Prezydenta jak i Biurem Prasowym Rządu nie uzyskaliśmy żadnej informacji w interesującej nas sprawie.

Natomiast 29 lipca w Pogotowiu Opiekuńczym nr. 1 w Warszawie dowiedzieliśmy się, że dzieci powróciły z wypoczynku w Rozalinie. Zapewniano nas, że dzieci wróciły zdrowe i szczęśliwe. Niestety nie ma wśród nich 13-letniego Krzysia, który podczas zajazdu 19 lipca na Rozalin wymknął się swym wychowawcom spod opieki i odtąd ślad po nim zaginął.

— Po wyjeździe dzieci naszym pracownikom uniemożliwiono wysprzątanie zajmowanych przez młodzież pomieszczeń i zabrano im klucze od hoteliku — powiedział nam w rozmowie telefonicznej Andrzej Macenowicz dyrektor Centralnego Uniwersytetu Ludowego w Rozalinie. Widoczną jest także dalsza eskalacja działań ochroniarzy z Lancy i pełnomocnika Romana Grzesiuty.

Prokuratura Rejonowa w Pruszkowie zakończyła już przesłuchania pracowników CUL, ochroniarzy, spadkobierczyni Rozalina i jej pełnomocnika. Rada Konsultacyjna ds. Reprywatyzacji wydała oświadczenie, w którym stwierdza, iż Krystyna Krysowska jest właścicielką zespołu parkowo-pałacowego w Rozalinie, natomiast odcięła się od sposobu przejęcia przez Krysowską nieruchomości.

W prasie codziennej zapowiedziano — powołując się na informacje z MSW — wręczenie szefowi spółki ochroniarskiej Lanca nakazu opuszczenia Rozalina 29 lipca. Tego właśnie dnia, w głównym wydaniu wiadomości tv, szef

Lancy poinformował, iż żadnego nakazu nie otrzymał. Jednocześnie zapowiedział, iż gdyby tak się stało to zaskarży go do NSA, albowiem z właścicielką Rozalina podpisał bezterminową umowę. Sama zaś pani Krystyna Krysowska w całej tej sprawie widzi jedynie problem odrzucenia przez A. Macenowicza przedstawionej mu propozycji — pozostawienia go na stanowisku dyrektora.

I w tym momencie można postawić pytanie, które może całkowicie zmienić optykę patrzenia na sprawę Rozalina. Czego bowiem pan Macenowicz miałby być dyrektorem? Póki co, jest dyrektorem CUL w Rozalinie i chociażby tylko z tego względu czuje się odpowiedzialny za majątek tej placówki oświatowej. Szkoda jednak, że w staraniach o jej dobro i majątek nie tylko pozbawiony został wsparcia ze strony MEN ale resort pomagał nawet w jej likwidacji.

Jedno zdaje się być na obecnym etapie całej tej sprawy dla wszystkich oczywiste: prawo własności do spadku po rodzinie i dezaprobata do sposobu jego przejęcia. Stąd nieodczyna wydaje się odpowiedź na pytanie — czy taki sposób działania możliwy jest w państwie prawa, w którym ponoć żyjemy?

K.S.

ZAPRO-
SZENIE
DO
TAŃCA

Klub Tańca Towarzyskiego „Jedynka” przy Szkole Podstawowej nr 1 w Kutnie, ul. Zamoyskiego 1, tel. 374-88, organizuje w dniach 25-26 września 1993 roku Mistrzostwa Polski Młodzieży w Tańcu Towarzyskim. Zaproszono 300 par. Mistrzostwom towarzyszyć będą rozgrywki sportowe, występy wokalne, żakina, konkursy plastyczne dla około 5 tysięcy dzieci i młodzieży.

(z)

Z KIM?

Z dużym zainteresowaniem przeczytałem artykuł Wojciecha Sierakowskiego „Z kim” — „Głos Nauczycielski” nr 28. Należę do grona tych związkowców, którzy w pełni akceptują decyzję prezydium ZG ZNP dotyczącą wejścia naszego Związku w koalicję z Sojuszem Lewicy Demokratycznej. W moim przekonaniu nie ogranicza ona naszej wolności, jak stwierdza jeden z członków ZNP piszący do „Głosu Nauczycielskiego”. Przecież nikt go nie zmusza ażeby głosował na kandydatów lewicy demokratycznej. W tym zakresie ma pełną swobodę. Cieszę

się z tego, że nasz Związek zgłosił 50 kandydatów do przyszłego parlamentu.

Uważam podobnie jak kol. prezes Jan Zaciura, że program Sojuszu Lewicy Demokratycznej jest najbardziej zbieżny z programem ZNP i ten właśnie sojusz daje realne szanse na stosunkowo dużą liczbę mandatów w przyszłym Sejmie i Senacie.

Do Związku Nauczycielstwa Polskiego wstąpiłem w 1948 roku tylko dlatego, że on od samego początku (i do chwili obecnej miał i ma nadal) charakter lewicowy. Bronił i nadal broni nauczycieli. Za to należą mu się słowa najwyższego uznania.

ADAM RZAŚA
Rzeszów

NIEUSTANNA PRENUMERATA

Jeśli nie zdążyłeś zaprenumerować „Głosu” w Ruchu — możesz uczynić to u nas. Wpłacając na konto redakcji:

PBK SA III O/Warszawa nr 370015-977269-136 za jeden egzemplarz w trzecim kwartale sumę 7 000 zł (w tym opłata pocztowa) otrzymasz kolejne numery „Głosu”. Na przekazie zaznacz — prenumerata.

„Głos” przyjdzie do Ciebie pocztą!

Adres redakcji: ul. Juliana Smulikowskiego 6/8, 00-389 Warszawa. Telefony: 26-34-20, 27-66-30. Centrala: 26-10-11. Telex: 81-68-96. Fax: 26-34-20.

„GŁOS NAUCZYCIELSKI” redaguje zespół: Lidia Jastrzębska (z-ca red. naczelnego), Teresa Konarska, Jerzy Kraśniewski, Barbara Kozarska (kier. działu technicz.), Sławomir Lewandowski (kier. działu prawnego), Małgorzata Pomia-

nowska, Witold Salański, Wojciech Sierakowski (red. naczelnego), Krystyna Strużyna, (kier. działu edukacji i wychowania), Henryka Witalewska (kier. działu związkowego i interwencji), Alfred Zieliński (sekr. red.), Barbara Garbolewska (kier. działu administracji), korekta — Małgorzata Gościńska, Zofia Rozum. Nakładem Wydawnictwa „Głos Nauczycielski”

Dyrektor Wydawnictwa — Wojciech Sierakowski.

Redakcja zastrzega sobie prawo do skrótów i zmiany tytułów, tekstów nie zamówionych nie zwracamy.

Fotokład i druk: Interpoligrafia S.A., 02-018 Warszawa, ul. Nowogrodzka 84/86

Redakcja nie odpowiada za treść i skutki ogłoszeń i reklam. Zam. 520

SZKOLNICTWO WYŻSZE

JAK ZAOSZCZĘDZIĆ DWA BILIONY ROCZNIE?

Szkolnictwo wyższe ustawicznie boryka się z trudnościami finansowymi. Pensje nauczycieli akademickich są niskie, stypendia studenckie symboliczne. Brakuje pieniędzy na prace badawcze, aparaturę i remonty. Prognozy na najbliższy okres nie są optymistyczne. Jednocześnie pomimo trudnej sytuacji nie poszukuje się ani nie wykorzystuje ogromnych rezerw. Funkcjonowanie większości wyższych uczelni w Polsce oparte jest w dalszym ciągu na tradycyjnych wzorcach i utartych schematach działania.

Aby wykazać słuszność użytych stwierdzeń zwróć uwagę na jedną z rezerw, wyliczając jednocześnie korzyści, jakie jej wyzolenie może przynieść gospodarce narodowej. Istota jej tkwi w strukturze roku akademickiego i wiąże się ze zmianą tej struktury.

Rozpatrzmy z punktu widzenia przerw w nauce strukturę roku dowolnej szkoły wyższej. Długość tych przerw w roku 1992/1993: wakacje zimowe — 11 dni, sesja egzaminacyjna (zimowa) — 20 dni, przerwa międzysemestralna — 6 dni, wakacje wiosenne — 5 dni, sesja egzaminacyjna (wiosenna) — 13 dni, przerwa wakacyjna — 67 dni, jesienna sesja egzaminacyjna wraz z okresem rejestracji — 29 dni. Razem 151 dni.

Jak wynika z przeprowadzonego rachunku przez 151 dni w roku akademickim studenci nie uczęszczają na

zajęcia, a dydaktycy takich zajęć nie prowadzą (nie licząc wzmiankowanego wysiłku podczas sesji egzaminacyjnych). Tak długi okres przerw jest uzasadniony w przypadku pracowników naukowych, którzy przeznaczają go np. na realizację badań. Nie jest on jednak korzystny dla studentów — długie przerwy w roku to dłuższe studia, a tym samym opóźnione rozpoczynanie kariery zawodowej, późniejsze usamodzielnienie się itp. Z punktu widzenia interesów państwa oraz szkoły wyższej sztucznie wydłużane studia to czyste marnotrawstwo sił i środków.

Dokonajmy więc następującej zmiany w systemie studiów: skróćmy czas ich trwania o jeden rok, ograniczając przede wszystkim długość niektórych przerw (i modyfikując jednocześnie system praktyk studenckich). Przerwę wakacyjną skróćmy do 40 dni (zyskujemy 27 dni), jesienną sesję egzaminacyjną wraz z okresem rejestracji do 12 dni (zyskujemy 17 dni), przerwę międzysemestralną (nie mylić z wakacjami wiosennymi) do 2 dni (zyskujemy 4 dni) oraz pozostałe sesje egzaminacyjne o 4 dni. Są to niewielkie zmiany, których dobry student (a więc taki, który nie musi zdać egzaminów w jesienną sesję egzaminacyjną) nawet nie odczuje. Zmiany te mają charakter organizacyjny i w zasadzie nie wymagają żadnych nakładów finansowych.

Skrócenie przerw pozwala wygospodarować w skali jednego roku aka-

demickiego 52 dni, a w skali 4 lat — 208 dni. Aby zrealizować program piętego roku studiów w ciągu pierwszych czterech lat potrzeba 215 dni (366 — 151). Te kilka brakujących dni łatwo wygospodarujemy poddając weryfikacji programy studiów i zmniejszając w nich bardzo nieznacznie liczbę godzin niektórych przedmiotów nauczania, np. tych o charakterze ogólnokształcącym.

Jakie konkretne korzyści można osiągnąć dzięki proponowanemu rozwiązaniu? Dokonajmy prostej kalkulacji. Do szkół wyższych podległych Ministerstwu Edukacji Narodowej uczęszczało w roku akademickim około 440 tys. studentów. Koszt wykształcenia jednego studenta to średnio ok. 20 milionów zł rocznie. Tak więc skrócenie studiów o 1 rok prowadzi do oszczędności rzędu 8,8 biliona zł na każdym pokoleniu studiującej młodzieży. Daje to w przybliżeniu 2 biliony złotych oszczędności rocznie. Upraszczając można powiedzieć, że w skrajnym przypadku proponowane rozwiązanie pozwala kształcić za te pieniądze dużo większą liczbę młodzieży niż obecnie. Przynosi to dodatkową korzyść. Po jego wdrożeniu istnieje realna szansa zwiększenia wskaźnika liczby studentów przypadających na 10 tys. obywateli kraju, który w Polsce wynosi 130, gdy tymczasem np. w Szwecji kształtuje się na poziomie 224, a w Kanadzie wynosi 500.

Sugerowane rozwiązanie stanowi przykład łamania stereotypów i nowego, idącego z duchem czasu podejścia do nabrzmiałych problemów gospodarczych. Jest jednocześnie dowodem na to, że źródłem oszczędności w szkolnictwie wyższym niekoniecznie muszą być zwolnienia pracowników i stopniowe ograniczanie funduszy na naukę.

dr ARNOLD PABIAN
Politechnika Częstochowska

Dotychczas polityka liberałów produkuje bezrobotnych. Te nowe miejsca pracy, które rzekomo proponuje sektor sprywatyzowany łącznie z nowo przejmowanymi przedsiębiorstwami, to oczywiście mity. Rentowność przedsiębiorstw według liberałów to przede wszystkim racjonalizacja zatrudnienia, czyli mówiąc mniej elegancko wyrzucenie części załogi na bruk. Oczywiście tym ludziom trzeba zapłacić zasiłek. Kto to zrobi? Budżet? Niekoniecznie, skoro liberałowie żądają obniżenia podatków a więc można domniemywać, że będzie on chudziutki. Mieli oni kiedyś pomysł na kłopoty budżetu: podatek kroczący zresztą jako alternatywny do propozycji podniesienia stopy podatkowej dla najbogatszych (50 proc.). Wówczas koszty utrzymania państwa ponieśliby oczywiście średnio zarabiający. Na szczęście Sejm tego pomysłu nie kupił. Skoro więc budżet robi bokami — co po części wynika też z nieudolności rządzących za skutki bezrobocia zapłaci marnie zarabiający obywatel. Dodajmy obywatel, który musi sam się wyżywić (i swoją rodzinę), utrzymać ze swojej składki, w niedalekiej przyszłości 2,5 emeryta, doubezpieczyć się w ZUS, opłacić wszelkie zasiłki dla matek i dzieci i oczywiście zapłaci podatek. Nietrudno obliczyć, że gdyby się okazało, iż ministerstwo zdrowia też nie pozostanie w tyle i zaproponuje składkę zdrowotną — do kasy państwowej będziemy odprowadzać 100 proc. swoich zarobków.

TERESA KONARSKA

KIEDY STANDARDY?

W tym roku bardziej ostro, niż w latach ubiegłych, dać znały o sobie różnice pomiędzy wiedzą wyniesioną przez uczniów ze szkoły a tym, czego żądano od nich na egzaminach wstępnych. I to zarówno do szkół średnich, jak i wyższych. Stąd też sygnalizowana już od dłuższego czasu przez nauczycieli, a także rodziców potrzeba określenia standardów wymagań klasyfikacyjnych i egzaminacyjnych wymaga pilnego zrealizowania. Na szczęście i w samym MEN problem ten zaczyna być dostrzegany.

O potrzebie opracowania wspólnych standardów głośno zaczęto mówić w MEN na początku tego roku. Konkretnie na naradzie kuratorów w Częstochowie problem ten zasygnalizował Mirosław Sawicki, dyrektor Departamentu Kształcenia Ogólnego MEN. Między innymi zwrócił uwagę na konieczność zmiany konstrukcji programów nauczania, co tym samym pozwoli na stworzenie takiego systemu ocen, który korelowałby z wymaganiami stawianymi przed uczniem. Obecnie obowiązujące programy są bowiem tylko zbiorem ogólnikowych haseł z rozpisaniem na ilość godzin. — Swych celów nie tłumaczą na konkretne wymagania — powiedział dyr. Sawicki, podczas naszej rozmowy na ten temat na początku lipca br.

Jak nas poinformowano w MEN odbyło się pierwsze spotkanie specjalistów od pomiarów dydaktycznych, poświęcone zagadnieniom związanym z opracowaniem standardów egzaminacyjnych. W toku dotychczasowych przemyśleń i dyskusji dopuszcza się możliwość różnych form matur z zachowaniem ich dotychczasowej rangi — egzaminu państwowego. Tym samym poziom stawianych w nim wymagań powinien być jed-

nakowy. Tymczasem nawet pobieżna analiza tegorocznych matur wykazuje zbyt duże różnice w egzaminach dojrzałości pomiędzy poszczególnymi szkołami czy też województwami. Stąd matury uzyskane nawet w tym samym czasie stają się nieporównywalne.

Natomiast jakiegokolwiek standardy nauczania obowiązujące w szkołach średnich — zdaniem dyr. Sawickiego — zlikwidowała samorządność szkół wyższych. Dała im ona bowiem możliwość pełnej swobody, zarówno w wyborze formy jak i zakresu wymagań stawianych przed ubiegającymi się o indeks.

Przy opracowaniu standardów nauczania, oceniania częściowego jak i egzaminów końcowych myśli się także o skorzystaniu z tego typu standardów obowiązujących na Zachodzie.

— Nie chcemy jednak — jak zaznaczył dyr. Sawicki — mechanicznie ich przenosić do naszych szkół, a jedynie wybrać z nich to, co może być dla nas przydatne. Kształcimy bowiem wcale nie najgorzej o czym świadczy fakt, iż wielu naszych studentów i uczniów radzi sobie całkiem dobrze za granicą. O ile jednak na początku zdarza się, że poziomem swej wiedzy przewyższają swych rówieśników, to później, ze względu na brak samodzielności wiedzy im się nieco gorzej.

Następne spotkanie poświęcone standardom egzaminacyjnym odbędzie się prawdopodobnie w sierpniu. Od września natomiast planuje się, w kilku wybranych szkołach na terenie całego kraju, realizację opracowanej przez zespół koncepcji. Rozważana jest także propozycja zastąpienia egzaminu do szkół średnich końcowym egzaminem w szkołach podstawowych.

K.S.

KTO ZAPŁACI ZA WALKĘ Z BEZROBOCIEM

WEZMĘ PAŃSTWO NA UTRZYMANIE

Ponoć do końca swojej kadencji rząd ma przygotować szczegółowy program i wycenę kosztów walki z bezrobociem. Tymczasem wiceminister Michał Boni wyskoczył już z pierwszą propozycją, którą wszystkich zaskoczył. Sprowadza się ona bowiem do tego, że rząd będzie walczył, a pracownicy za to zapłacą. Okazuje się, że Funduszowi Pracy nie wystarczy już od 3 proc. składka pracodawcy, teraz resort pracy wręcz żąda, aby od 1 stycznia 1994 roku także każdy pracownik wpłacał obowiązkową składkę solidarnościową na rzecz bezrobotnych w wysokości 2 proc. pensji brutto (przy pensji 4 mln wynosi to 64 tys. zł.). Ten pomysł rzucił Bank Światowy, a resort złapał go w lot.

W tymże projekcie programu jest także skromny zapis o wprowadzeniu ograniczenia wzrostu płac, ale o tym wiceminister Boni przeźornie milczy.

Obawiam się, że jak tak dalej pójdzie nasza kieszeń drażona permanentnie przez kwartalne podwyżki świadczeń i ciągle podwyżki cen (VAT) — będzie już zupełnie pusta i do 1 stycznia 1994 „Jaś nie doczeka”.

Z pierwszych informacji prognozujących budżet na przyszły rok wynika, że realny wzrost płac np. sfery budżetowej ma wynieść tylko 1,5 proc. Zwykle okazuje się jednak, że te wskaźniki rządu są bardzo optymistyczne. Więc można sobie wyobrazić bez trudu, że szykuje się spadek płacy realnej. Do kogo więc ta propozycja?

Wyłudzenie dalszych złotych od pracownika motywuje się także tym, że wzorem państw zachodnich musimy przejść na system ubezpieczeniowy na wypadek bezrobocia. Wysokość zasiłków po utracie pracy jest wówczas uzależniona od wielkości składek. Otóż nieprawda, na Zachodzie są różne systemy — o czym z pewnością wiceminister Boni został poinformowany przez fachowców z resortowego Instytutu Pracy i Polityki Socjalnej. A więc nie może to być żaden dodatkowy argument.

W tej propozycji M. Boniego wyczuwa się ducha liberałów. Głoszą oni hasła wyborcze „miliony nowych miejsc pracy”, ale już uściślając je np. Donald Tusk mówi, że to tylko jest prognoza, która może się spełnić, ale pod pewnymi warunkami.

inne niż dotychczas formy dostarczania pisma prenumeratorem z tych miejscowości).

● **W sieci kolportażu Poczty Polskiej** — jest to powrót do dawnych, sprzed wielu lat zasad, oznacza, że wpłaty na prenumeratę tygodnika dokonuje się na konto PP w urzędzie pocztowym lub u listonosza, zaś w ten sposób opłacony tygodnik dostarcza bezpośrednio pod wskazany adres listonosz (wszelkich informacji udzielają urzędy pocztowe i doręczyciele, cena prenumeraty taka sama jak w „Ruchu”)

● **W prenumeracie redakcyjnej**, dla tych, którzy lubią się spóźniać.

Terminy prenumeraty upływają: w „Ruchu” — 20 VIII, w PP — 28 VIII, prenumerata redakcyjna — nieustanna.

JAK ZAPRENUMEROWAĆ GŁOS NA IV KWARTAŁ?

NA TRZY SPOSOBY

● **W sieci kolportażu „Ruch”**, na dotychczasowych zasadach — jest to korzystny sposób głównie dla mieszkańców większych ośrodków (uwaga! — w związku z wejściem na ten rynek poczty, dotychczasowy kolporter, czyli „Ruch”, może nie przyjąć zamówienia na dostawę tygodnika do miejscowości, w których nie ma jego oddziałów lub punktów sprzedaży, może zatem zaproponować



Rys. STOK

Publikacje dotyczące subkultur młodzieżowych podejmują ten temat najczęściej w aspekcie powierzchownej informacji lub sensacji, pomijając przyczyny ich powstawania i ich istotne różnicowania wewnątrzgrupowe. Jest to rezultat braku kompleksowych badań omawianego zjawiska, badań prowadzonych przez specjalistów z kręgu pedagogów, psychologów, socjologów, lekarzy. Stan ten z kolei powoduje niemal zupełny brak literatury naukowej, bez której nie można sensownie analizować ani przyczyn, ani stawiać diagnoz, czy próbować terapii.

Mimo istniejącego stanu można zauważyć, że subkultura młodzieżowa to ucieczka od świata dorosłych, świata często obojętnego na sprawy „smarkaczy”, świata rozpolitykowanego, zaginionego, nawiedzonego. Jest to ucieczka w głąb siebie i poszukiwanie sobie podobnych. Na tej drodze łatwo o konflikty: dorośli żądają zwykłej adaptacji młodzieży do ich świata wartości. Młodzież pragnie poszanowania jej podmiotowości i protestuje na miarę swoich możliwości.

Starsze pokolenie coraz wyraźniej żyje historią, grobami, bohaterstwach, bogoojczyźniactwem czy wręcz zwykłym oszołomstwem. W cieniu walki o władzę pozostają problemy odżywiania młodzieży, zaspokajania jej potrzeb psychicznych i materialnych, by wspomnieć tylko o celowości kształcenia się czy ułożenia życia uczuciowego. Problemy orla w koronie, religii w szkole, modlitwy przed lekcjami, symboli religijnych w każdym miejscu, aborcji, środków antykoncepcyjnych czy nawet legalnego bicia dzieci i młodzieży, dekomunizacji i lustracji — oto oferta ludzi zwanych się dorosłymi dla tych, którzy dorastają i uczą się nie wiedząc po co. Perspektywa bezrobocia nie stanowi przecież bodźca do uczenia się, zwłaszcza gdy za wszelką cenę model cwaniactwa, sprytu, tzw. zaradności, za którą kryje się zwykła demoralizacja, brak poszanowania prawa m.in. zawarty w haśle „brania spraw we własne ręce”.

Oficjalna propaganda mass mediów w III RP lansuje kult pieniądza, bogacenia się za wszelką cenę, amerykańskie standardy życia tchnące prymitywizmem kulturowym. To wyjaśnia, a poniekąd usprawiedliwia coraz liczniejsze napady rabunkowe dokonywane przez młodocianych. Nawet nieletnie dzieci wiedzą, że pracą i umysłu legalnie nie zarabia się fortun, a głośne afery wskazują źródła bogactw. Rodzi to moralne samospokojenie młodocianych przestępców: okradają, jak mówią, złodziei.

Do rzadkości należy już ustąpienie miejsca starszym w środkach komunikacji miejskiej. Na pytanie, dlaczego tak postępują, młodzi ludzie odpowiadają: „dlaczego mam ustępować miejsca starszym, którzy być może byli komuchami, agentami itp., oskarżającymi siebie wzajemnie, chociaż w społeczeństwach totalitar-

nych wszyscy byli jednakowo winni”. Na dowód przytaczają słowa rosyjskiego dysydenta, W. Bukowskiego: „W rzeczy samej dlaczego produkowanie drutu kolczastego nie jest przestępstwem, a praca strażnika więziennego jest? Tak czy siak wszyscy są wprzęgnięci w przestępstwa władzy (...) Wszyscy podnoszą ręce na zebraniach, głosują w wyborach i — co najważniejsze — nie protestują”.

Takie są rezultaty bezmyślnej walki politycznej ludzi, którzy swymi „rozliczeniami”, lustracjami i dekomunizacjami, szkalowaniem starszego pokolenia jako „pokolenia socjalistycznego”, sami gotują sobie i swoim

nie wie, że powtarza słowa czerwonych dyktatorów z Kremla, które dawno temu przytoczył Bukowski (I powraca wiatr... s. 45). A rzeczywiście warto go czytać, by zrozumieć, dlaczego „wielkie słowa” i „święte hasła” są przez młodzież wulgarnie traktowane. Bukowski pisze (s. 84): „słowa takie, jak wolność, równość, braterstwo, szczęście, demokracja, naród — to były podle słowa ze słownictwa podłych przywódców i czerwonych plakatów. Woleliśmy zastępować je przekleństwami”. Decydemtom oświatowym warto też przypomnieć jego wciąż aktualne następujące słowa (s. 65): „należy dodać, że nauczyciele (...) są u nas najgorzej płatnymi pra-

mają dla niej powabu w nowej sytuacji, bowiem wszelkie systemy wartości są uwarunkowane biologicznie, kulturowo, historycznie, społecznie, ekonomicznie, politycznie. Nowa sytuacja, w jakiej się znajdujemy, to wielka niepewność. Młodzież, stojąca wobec alternatywy coraz trudniejszej emigracji lub bezrobocia i bezsensu życia, może wybrać i często wybiera trzecie wyjście: nihilizm aksjologiczny, anarchię i walkę ze społeczeństwem, ponoszącym winę za jej sytuację: uczy się bez pewności pracy w zawodzie; dorasta, chce kochać się i zakładać własne rodziny, może to jednak robić pod przysłowiowym „mostem” czy „chmurką”. Państwo, jako instytucja odpowiedzialna za bezpieczeństwo zewnętrzne i wewnętrzne obywateli, nie spełnia tym samym swej funkcji. Ale nie jest to winą młodzieży, chociaż ona za to płaci.

Subkultura młodzieżowa można w przybliżeniu rozróżnić na podstawie trzech znamion: ideologii, uprawianej muzyki i wyglądu zewnętrznego. W Polsce nie istnieje jeszcze problem killersów czy rockersów. Jak się wydaje, hipisi powoli wymierają

grzywką). Skinheadzi unikają narkotyków i biją narkomanów. Dla odmiany skini ćpają.

Szalikowcy to kibice klubów sportowych, w których kolorach noszą szaliki. Nic pozytywnego o tej subkulturze powiedzieć się nie da. Ich działalność to fanatyzm klubowy i niszczenie wszystkiego, co niszczyć się daje. O ideologii trudno tu mówić, gdyż pojęcie „anarchista” jest w odniesieniu do nich pojęciem zbyt szlachetnym i nieadekwatnym.

„Punk” to znaczy „śmieć, odpad”, itp. Taką też mają ideologię. Narkomani. Wewnętrznie członkowie tej subkultury dzielą się na kilka grup, co wymaga odrębnego omówienia. Ich muzyka to punk-rock, taniec to pogo, gazetki — fanzyny. Ubiór zależy od grupy. Włosy porzeczają czaszą na lrokeza, lecz ostatnio unikają zewnętrznych oznak swej organizacyjnej przynależności ze względu na dezaprobatę otoczenia.

Satanizm jest religią uważającą Lucyfera za anioła Dobra, a Jehowę za anioła Zła. Zwykle przedstawienie pojęć (atrybutów?) judeochrześcijańskich, co łatwo zrozumieć podczas lektury „Bunt Aniołów” A. France’a. Satanistów obowiązuje zakaz narkotyków, alkoholu, zabijania, przemocy. Nie stanowią problemu i nie wiadomo ilu jest ich w Polsce. Problemem i to prawdopodobnie narastającym są pseudosatanści, którzy na złą sprawę uważają siebie za satanistów, przy czym nie mają wręcz żadnego pojęcia o żadnej religii. Ich rozmnażanie się w Polsce jest owocem nieodpowiedzialnych reportaży, filmów (np. Oto Ameryka), publikacji. Do tego dochodzi tajemniczość, różne treści przysięgi, czarne msze tchnące obrzydliwością, atmosfera nocnych spotkań. Te objawy czy symptomy omawianego ruchu powinny być niezwłocznie badane przez psychiatrów, psychologów i neurologów. Szczegółowe omówienie tej subkultury wymagałoby odrębnego potraktowania, gdyż jest to subkultura niejednorodna, niewyobrażalnie różnicowana, dzwaczna, kierująca się ideologiami — czy raczej wymysłami — słabo pod względem umysłowym rozwniętych nastolatków. Narkotyzują się, mordują zwierzęta, niekiedy demoluja groby. Ale to tylko niektóre ugrupowania. Ich symbole: trzy odwrócone dziewiątki, odwrócony krzyż, pentagram. Subkultura raczej liczna i niebezpieczna ze względu na niski poziom intelektualny jej członków.

Powyższe nie wyczerpuje tematu subkultur, lecz sygnalizuje wagę tego zjawiska. Potrzebne są zorganizowane, kompleksowe, specjalistyczne badania. Jest to zawsze problem pochodny do sytuacji społeczno-ekonomicznej, ale jako taki wymaga największej uwagi i troski.

JÓZEF PIETRZAK

SUBKULTURY MŁODZIEŻOWE

najbliższym trudny los. Teraz lub za kilka lat zapłacą to bezsensownymi nocami, powiazanymi z troską o samochody, o mieszkania, torebki i portfele, o zdrowie, a nawet życie.

Głoszone dziś hasła są hasłami pustymi: co np. oznacza słowo „reformy”? Kto podał dokładną treść tego pojęcia, jego cel i etapy? Podobnie z hasłami takimi, jak „demokracja”, „kapitalizm”. Czy chodzi tu o współczesny kapitalizm opuchnięty recesją i bezrobociem, czy o XIX-wieczny kapitalizm, dziś spotykany już tylko w krajach postkomunistycznych i nie wiadomo którego „świata”? Jaki sens ma dziś słowo „ojczyzna”, skoro jej obywatele po latach pracy dożywają się w śmietnikach, nie mają pieniędzy na leki i elementarne potrzeby? Tzw. elita tłumaczy to następująco: „nie można zapominać o jednym: kroczymy nie uczęszczaną ścieżką, ponieważ tworzymy nowe społeczeństwo, nie ma nam kto podpowiadać, czasem popełniamy błędy. Ale spójrzcie ile zostało już osiągnięte w porównaniu z rokiem (...) Mimo, iż możemy się w pewnych wypadkach mylić, to jednak generalnie idziemy przeciw słuszną drogą, idee nasze są światłe”. Prawdopodobnie ta „światła elita”

ownikami, dlatego nauczycielem zostaje się tylko w przypadku skrajnej potrzeby, gdy człowiek nie może nigdzie znaleźć pracy”. Te słowa pochodzą od wieloletniego więźnia sowieckich gułagów. ZSRR już nie ma. PRL też już nie ma. A jego słowa są nadal aktualne.

Przy omawianiu przyczyn powstawania subkultur młodzieżowych nie można zapominać też o zwykłym konflikcie pokoleń, a więc o sytuacji, w jakiej kiedyś i obecni dorośli byli „młodymi gniewnymi”, o czym zapominają i chcą, by ich świat wartości trwał na wieki, jako najlepszy z możliwych. Postawa taka, połączona z agresją i nietolerancją, może mieć tylko jeden finał: przegraną starszego pokolenia i zepchnięcie go na margines pogardy.

Zjawiska takie, jak narkomania, alkoholizm, ucieczka z domów rodzinnych, drugoroczność — itp. — to najczęściej rezultaty kryzysu rodziny, szkoły, tradycyjnej moralności. Fundamentalisci obojętnych sztańców powinni być świadomi swej odpowiedzialności za dewiacje młodzieży i negację jej podmiotowości. Tradycyjne systemy wartości, w które chce się wtłoczyć współczesną młodzież nie

w ośrodkach monarowskich, nikną też zorganizowane grupy „chuliganów” jako subkultury. Nie stanowią problemu rastafarianie, pacyfiści, rapersi, depešwicy czy ekolodzy. Do niebezpiecznych subkultur trzeba zaliczyć skinów, szalikowców, punków i pseudosatanistów.

Skini są subkulturą wewnętrznie bardzo różnicowaną, zarówno w Polsce jak i w innych krajach. W Polsce dzielą się na skinów, skinheadów, skinsów, skinów-faszystów, skinów-nacjonalistów, skinów-oi i innych. Trzeba przy tym nadmienić, że ideologia np. skinów-nacjonalistów z ulicy X w jednym mieście, nie ma nic wspólnego, poza komunałami, z ideologią tego samego ugrupowania z ul. Y w tymże samym mieście. Ich świadomością własnej ideologii jest mało. Np. uważają siebie za ruch prawicowy, a pochodzą z ubogich środowisk i głoszą hasła lewicy. Trochę to przypomina współczesną „Solidarność” z jej lewicowymi hasłami i prawicowymi postawami. Ulubiona muzyka skinów to hard core, pismem „skinziny”, a ubiorem dzinsy, panterki, szelki, ciężkie, kute i wysoko sznurowane buty (glany), krótkie włosy bądź wręcz ogolone głowy (niekiedy mała

PRZYPRAWY SŁODKIE I GORZKIE

POKUSY DO ODPARCIA

WSZYSTKO wskazuje na to, że od nowego roku szkoły podstawowe przejęte będą przez samorządy gminne. W związku z tym chciałbym zwrócić uwagę na trzy pokusy, mogące pojawić się wśród władz gminnych, które rozumiem, ale przed którymi chciałbym przestrzec powołując się na autorytety naukowe.

Pierwsza pokusa dotyczyć będzie małych szkół, które są drogie i w związku z tym może pojawić się pomysł ich zlikwidowania. Rafał Piwowarski w książce „Sieć szkolna, a dostępność kształcenia” omawia amerykańskie doświadczenia w tym zakresie. Píše on, że w Stanach Zjednoczonych ze 149 tys. szkół zatrudniających jednego nauczyciela w 1930 r. do 1984 roku zostało się tylko 837. Przy okazji zaznacza, że „Amerykańskie Stowarzyszenie Administratorów Szkolnych w 1981 r. wyraziło pogląd, że ponowne ożywienie szkolnictwa wiejskiego odświeżyło długo

lekceważoną ideę, że «małe może być piękne», oraz że małe szkoły mogą działać i działają tak, aby potrzeby oświatowe młodzieży wiejskiej mogły być zaspokajane. Autorzy raportu o małych szkołach są przekonani, iż szkoły z 1 nauczycielem posiadają wyróżniające je charakterystyki i wartości, że czyni z nich to esencję żywotności wiejskiej Ameryki.” Dalej zaś pisze: „Uczniowie z najmniejszych szkół nie różnili się od innych uczniów (może tylko tym, iż zgodnie z własną oceną mieli więcej kłopotów w I klasie szkoły ponadpodstawowej). Ich doświadczenie i wiedza nie przynosiły im ani specjalnych korzyści, ani niepowodzeń. Tak jak wszędzie, część przyszła z dobrych szkół, część była gorzej przygotowana. Jakość wykształcenia uczniów zależy przede wszystkim od nauczyciela, a więc bez względu na to, czy jest to szkoła z 1 nauczycielem, czy też duża miejska szkoła”. Pro domo sua zaś „Wydało się, że utrzymywanie małych szkół (nie tylko z jednym nauczycielem) w wielu sytuacjach jest koniecznością i mówienie w tym przypadku o kosztach jest argumentem niestosownym, zwłaszcza że te najmniejsze szkoły na wsi niosą inne jeszcze

niż oświatowe wartości, na co zwrócili uwagę także autorzy raportu amerykańskiego; szkoła na wsi spełnia rolę kulturotwórczą, nie mniej ważną niż jej funkcja statutowa. Budowa sieci dróg, rozwój transportu szkolnego, rozbudowa większych szkół i internatów kosztują znacznie więcej niż utrzymywanie stosunkowo niewielkiej liczby małych szkół; niewymierne są natomiast społeczne koszty odrywania dzieci od rodziców i środowiska lokalnego.”

Druga pokusa dotyczy zmiany dyrektora szkoły. Wiadomo nomenklatura albo w najlepszym wypadku jakiś „bękart” okrągłego stołu. Nowe czasy wymagają nowych ludzi — z konkursu, albo najlepiej z nominacji. „Stary” przecież nie przeprowadzi reformy. Na takie dictum mogą tylko odpowiedzieć słowami Zbigniewa Kwiecińskiego, który badał efektywność reform oświatowych z lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. W rezultacie swoich empirycznych diagnoz stwierdził: „Najbardziej zaskakiwać może fakt, że tam, gdzie nie działało się nic, gdzie nie naruszono sieci szkolnej, a kadra była stabilna, gdzie dyrektor względnie niezmiennie kierował zespołem nauczycielskim i prowadził do elementarnego uporządkowania pracy swej instytucji oraz do powolnego umacniania się zastanych możliwości profesjonalnych szkół w jej wpływie na uczniów, tam efekty szkoły wzrosły.”

Zaufajmy więc dyrektorom szkół — to naprawdę są profesjonalści i niejedną reformę oświatową potrafili zaadaptować do lokalnych warunków.

Wreszcie trzecia pokusa dotyczy nauczycieli. W latach realnego socjalizmu, z różnym natężeniem, ale jednak byli oni poddawani presji obowiązującej ideologii. Cele wychowania były ściśle określone, a sposób ich realizacji reglamentowany. Kupując uległość nauczycieli ówczesna

władza dała im jednak (nieświadomie?) oręż gwarantujący dużą dozę niezależności. Mam tu na myśli „Kartę nauczyciela” i zawarty w niej zapis o mianowaniu. Jest on w tej chwili przedmiotem sporu, w który zaangażowane są związki zawodowe, ministerstwo i samorządy gminne. Istota tego sporu sprowadza się do tego, kiedy i jak można zwolnić z pracy nauczyciela?

Z jednej strony poczucie stabilizacji sprzyja nieuleganiu zewnętrznym naciskom politycznym, ideologicznym czy towarzyskim. Ma to szczególne znaczenie w szkołach samorządowych. Chroni je przed przenoszeniem konfliktów ze szczebla władz gminnych na teren szkoły. Z drugiej jednak strony poczucie nieusuwalności może wpływać demoralizująco, obniżać motywację do doskonalenia zawodowego lub wręcz powodować lekceważenie obowiązków.

Niezależnie od tego, jak skończą się spory legislacyjne, warto przypomnieć wniosek z badań Zbigniewa Kwiecińskiego, że tam gdzie grono pedagogiczne nie przeżywało burz personalnych, tam efekty kształcenia były wyższe. Prawo musi chronić nauczyciela biorąc pod uwagę przede wszystkim dobro uczniów. Przynajmniej do czasu, gdy podstawowym mechanizmem stabilizacji w zawodzie nie staną się atrakcyjne zarobki.

Jeden z działaczy samorządowych powiedział, że nie należy się bać przyznawania gminom szerokich kompetencji w zakresie zarządzania oświatą. „Nie jesteśmy małpą, której dano do ręki brzytwę”. Ja jednak wolę uprzedzić — na co nie warto tej brzytwy kierować. Zwłaszcza że lokalne sympatie oraz antypatie mogą teraz wpływać na to, co dotychczas było zastrzeżone dla centrali i nie można ich było ciachnąć żadną brzytwą.

JANUSZ GĘSICKI

Z prof. WOJCIECHEM POMYKAŁO
twórcą i redaktorem naukowym pierwszej polskiej „Encyklopedii Pedagogicznej” rozmawia Lidia Jastrzębska

DZIESIEĆ W JEDNYM

— Mimo podejmowanych kilkakrotnie prób wydania polskiej encyklopedii pedagogicznej ta jest pierwszym, wartym, obejmującym wszystkie dziedziny pedagogiki, dziełem. Czy jej wydanie wiązało się z dużym ryzykiem wydawniczym, edytorskim, finansowym, czy nadszedł już lepszy czas na wydawnictwa encyklopedyczne, czyli poważne, naukowe?

— Czas dla wydawnictw encyklopedycznych, naukowych, nie jest najlepszy z punktu widzenia materialnego. Wielkie, nowe oryginalne przedsięwzięcia encyklopedyczne prawie nie powstają, natomiast to, co się ukazuje, to tłumaczenia i przedruki — o co łatwiej, bo nie wymaga takiej ogromnej pracy autorskiej, redakcyjnej, edytorskiej itp. no i oczywiście nie tak dużych nakładów finansowych. Ale rzeczywiście wydanie encyklopedii pedagogicznej, to też wielkie ryzyko wydawnicze. Wynika to i ze słabości metodologicznych tej dyscypliny naukowej i koniunkturalnych zawirowań w ocenie jej dotychczasowego dorobku i nowych potrzeb, które rodzą przemiany ogólnospołeczne i oświatowo-wychowawcze. Trudno spełnić też wiele wykluczających się oczekiwań.

Natomiast z punktu widzenia wolności, czas jest znacznie lepszy niż w poprzednich dziesięcioleciach. Pomysł na takie dzieło zrodził się w latach 1969—1970, w wyniku dyskusji o stanie nauk pedagogicznych, w ówczesnej redakcji „Wychowania”. Po paru latach mieliśmy gotową encyklopedię i wydaliśmy ją, ale tylko jako wkładkę do czasopisma. To nie wystarczyło, by ukazała się w wydaniu książkowym. Ówczesne władze polityczne oraz monopolisci — PWN — i inni nie dopuszczali nowych inicjatyw, a nam uniemożliwiano jej wydanie, zwłaszcza że upieraliśmy się przy wszystkich swoich autorach, z których wielu było wtedy na indeksie. A ja przywiązałem się do tych dobrych tekstów i dobrych autorów i bez nich nie chciałem wydać tej encyklopedii. Kiedy Fundacja Innowacja stanęła na nogi i zgromadziliśmy środki materialne, to po 1989 r. wróciliśmy do idei wydania encyklopedii. Udało nam się przy tym zintegrować w tym dziele znaczną część środowiska nauk pedagogicznych, które — jak pani wie — jest dość mocno skłócone. Problemów z wydaniem było dużo, ale to już nie miało decydującego wpływu na wydanie.

— Zarzut, że wśród autorów zaistniało tylko środowisko warszawskie, pan oddala...

— W ogóle jest bezzasadny. Tak licznie jak ośrodek warszawski, w pracy nad encyklopedią brali udział naukowcy z ośrodka poznańskiego, gdańskiego, bydgoskiego, wrocławskiego, łódzkiego. Konsultanci działów również są spoza Warszawy — na przykład prof. Włodzimierz Szewczyk od psychologicznych podstaw kształcenia i wychowania, prof. Edmund Trempała nadzorujący dział pedagogiki opiekuńczej, czy prof. Czesław Banach zajmujący się pedeutologią.

— Czy hasła, pisane przecież w różnym czasie, były jeszcze weryfikowane?

— Rzeczywiście, wiele haseł powstało 20, a nawet więcej lat temu. Ale w pedagogice są tematy i takie, które historia z natury rzeczy dezaktualizuje, i takie, które są aktualne niezależnie od biegu czasu i nic nie straciły na swojej jakości. Na przykład nikomu jak dotąd nie udało się napisać lepszego hasła o lekcji szkolnej niż profesorowi Ludwikowi Bandurze.

Obok hasła prof. Aleksandra Kamińskiego — nagroda i kara, zamieściliśmy alternatywne hasło — autorstwa dr. Waldemara Kozłowskiego. Hasło prof. A. Kamińskiego, pisane przecież dwadzieścia lat temu, nic się nie zstarzało.

Wszystkim żyjącym autorom oddaliśmy ich hasła do powtórnego czytania i wprowadzenia ewentualnych zmian. Hasła autorów nieżyjących powtórnie recenzowaliśmy. Staraliśmy się nie robić w nich korekt, czasami używaliśmy przypisu w takich przypadkach, gdy zmieniły się zasady, na przykład skali stopni szkolnych. Zastanawialiśmy się nad tym, czy uzupełniać bibliografię do wcześniej pisanych haseł przez dziś już nieżyjących, ale jest to dość delikatny problem moralny. W tym wydaniu nie zdecydowaliśmy się na to, aby w takich wypadkach bibliografię uzupełniać, ale chyba w kolejnych edycjach będziemy to czynić, bo istotny jest cel nadrzędny, czyli to, żeby Czytelnik otrzymał w pełni aktualną bibliografię na dany temat.

— Jak środowisko pedagogiczne zareagowało na encyklopedię?

— Pierwsze wydanie już jest prawie wyczerpane. Niektóre zamówienia przeszły nasze oczekiwania. Na przykład Wydział Pedagogiczny Uniwersytetu Warszawskiego zamówił 500 egzemplarzy. Otrzymujemy także listy gratulacyjne od wielu naukowców, nie tylko zresztą pedagogów. Gratulują nam przede wszystkim inicjatywy, proponują przygotowanie następnych haseł. Myślę, że w uczelniach encyklopedia będzie popularna z racji tego, że jest to, faktycznie 10 podręczników w jednej książce — w tym cały trzon pedagogiki w formie merytorycznych wykładów.

— Jakie hasła były pisane ostatnio, jakich według pana zabrakło?

— Jest bardzo duży bałagan terminologiczny — mówi się przykładowo,

używając wymiennie terminów: szkoła publiczna, społeczna, niepubliczna, prywatna. Podjęliśmy próbę zdefiniowania tych pojęć i poprosiliśmy o to profesorów Juliana Radziewicza i Tadeusza Lewowickiego. To jedno z ostatnich haseł, które weszło do encyklopedii i do którego przywiązywaliśmy dużą wagę. Wobec problemu z hasłami — zarządzania oświatą i teorią zarządzania oświatą, jakie powstały w zespole redakcyjnym, poprosiliśmy w ośrodku gdańskim o napisanie haseł alternatywnych, by nie przedstawiać tylko jednego punktu widzenia w tej sprawie. Niektórzy autorzy nie zdążyli napisać swych haseł w odpowiednim czasie. Dlatego też nie wykorzystaliśmy w pierwszej edycji wszystkich napisanych haseł i one znajdują się dopiero w następnych wydaniach. Wówczas też nabywcom pierwszego wydania chcemy zaproponować suplement i postępować tak przy każdych kolejnych wydaniach.

Sądzę, że do następnej edycji dodamy 20—30 haseł, w tym m. in. hasła — psychologia wychowawcza, antypedagogika, podkultury dzieci i młodzieżowe. Zastanawialiśmy się też nad takim hasłem jak szkoła polska w okresie transformacji ustrojowej. Póki co nie zostało napisane tak, jak hasła: reformy szkolne w powojennej Polsce czy polityka oświatowa (głównie współczesna). Nie chcielibyśmy, żeby od startu twórcy encyklopedii wchodzili w konflikty światopoglądowe, ideologiczne, polityczne.

Ale skoro mówimy o pewnych brakach, to tym bardziej powiedzmy o tym, co jest w tej książce nowego. Mamy hasła pluralistycznie pomyślane np. cele kształcenia i wychowania w wersji religijnej i świeckiej. Zupełnym nowum jest włączenie do pedagogiki rewalidacyjnej i resocjalizacyjnej, które dotąd traktowane były jak uboższe kuzynki pedagogiki ogól-

nej. Te dziedziny pedagogiki są równie istotne jak jej ogólna teoria, czy dydaktyka oraz teoria wychowania.

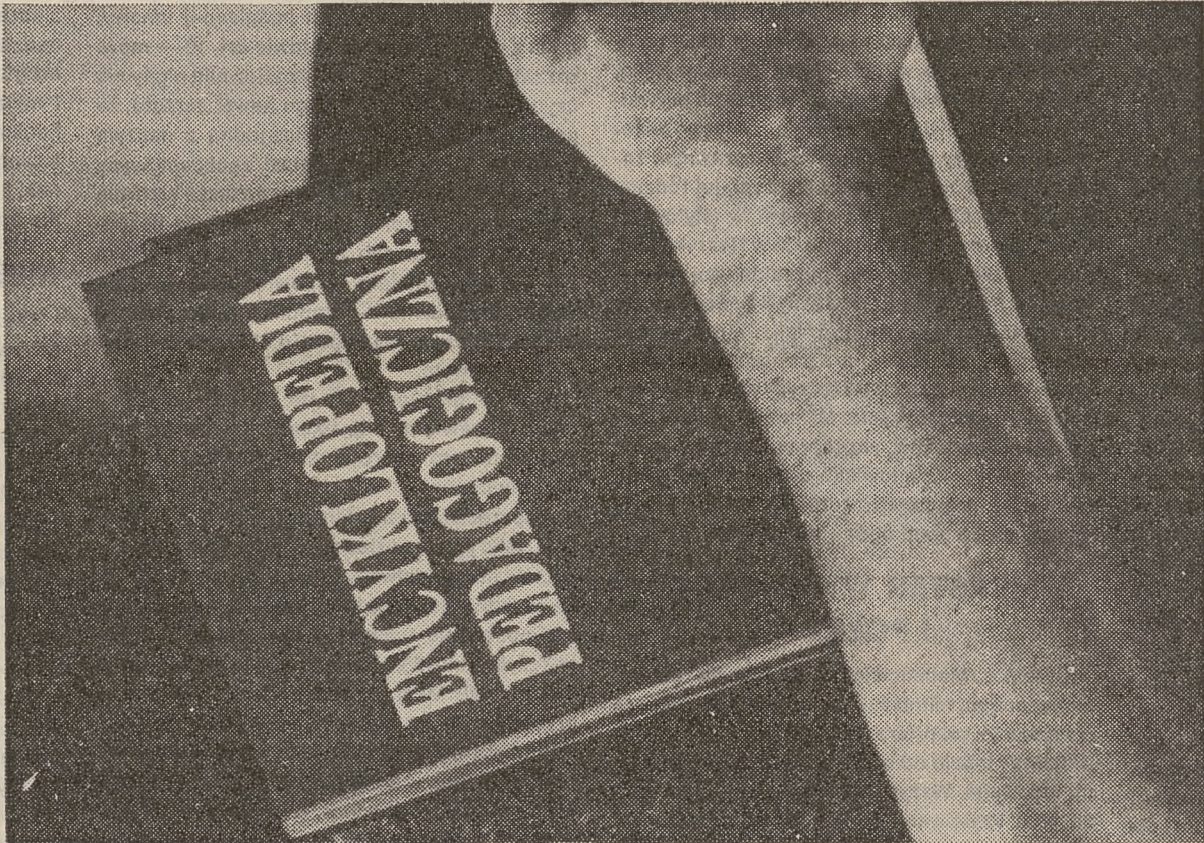
— W eseju prowadzącym do książki, zresztą bardzo ciekawym, prof. Stefan Wołoszyn pisze o tym, że wiele inicjatyw tworzenia encyklopedii powstawało w kręgu oddziaływania Związku Nauczycielstwa Polskiego i jego firmy — „Naszej Księgarni”. Gdyby porównać skład autorów tej encyklopedii z grupą doradców prezesa ZNP — to także istnieje tu duża zbieżność...

— To prawda, dzieło to powstało w kręgu oddziaływania pewnej grupy uczonych jednoznacznie zaangażowanych w naukową i społeczną działalność nauczycielską, organizowaną przez ZNP. Jaka stąd konkluzja — taki dorobek, jakim jest encyklopedia, rodzi się skutecznie głównie w środowisku niezależnym od ekip rządowych i aktualnej polityki oświatowej. Niezbędna jest tu intelektualna refleksja i dystans wobec koniunktur. I dlatego z takiego kręgu lepiej jest dobrać autorów. Świadczy to, że ZNP nie jest tylko roszczeniowo-socjalnym ruchem, ale wzrastającym w siłę ruchem intelektualnym, który ma swój udział w tworzeniu autentycznej wizji szkoły przyszłości, nowoczesnych rozwiązań pedagogicznych, jest faktycznym a nie jedynie pozornym nosicielem postępu pedagogicznego.

— Wydawaloby się, że tym dziełem Fundacja Innowacja uhonorowała swoją działalność, gdy tymczasem było to preludeum do znacznie śmielszych, bo na skalę międzynarodową, zamiarów...

— Encyklopedia jest wstępem, próbą siły, bowiem mamy już zaawansowane rozmowy z zagranicznymi partnerami na temat międzynarodowego wydawnictwa encyklopedycznego i innych publikacji (z Niemcami, Amerykanami i Rosjanami). Pomysł wziął się stąd, że po wydaniu tej encyklopedii Rosjanie zwrócili się do nas z prośbą o jej przetłumaczenie. Oczywiście samo dosłowne tłumaczenie nie miałoby sensu, bo obok treści uniwersalnych są tu typowo polskie. Ale gdyby spróbować przygotować międzynarodową encyklopedię pedagogiczną, prezentującą uniwersalne problemy edukacyjne współczesnego świata i charakterystyczne dla poszczególnych narodów — byłoby to ciekawe i pożyteczne. Miło jest mi poinformować Waszych Czytelników, że być może w ciągu dwóch lat takie dzieło powstanie, co jest szczególnie ważne w dobie wzmożonych separatyzmów i braku niezbędnego porozumienia narodów. Zapraszam wszystkich nauczycieli do czytania naszych wydawnictw. I tych które już powstały i planowanych w najbliższej przyszłości. Zapraszam także do pisania do nas i w ogóle kontaktów z naszą fundacją. Pragnę też poinformować wszystkich subskrybentów, że jeśli będą mieli trudności z wykupieniem Encyklopedii Pedagogicznej tam gdzie ją zamawiali, mogą ją otrzymać w naszej Fundacji. Traktujemy to jako nasz obowiązek wobec subskrybentów, pierwszej polskiej w pełni ukończonej Encyklopedii Pedagogicznej — co pani na wstępie tej rozmowy zauważyła.

— Dziękuję za rozmowę.



POLSKIE INICJATYWY I OPRACOWANIA ENCYKLOPEDYCZNE

prof. STEFAN WOŁOSZYN

W Polsce były kilkakrotnie podejmowane próby opracowywania encyklopedii pedagogicznych. Dwa najpoważniejsze nasze przedsięwzięcia w tym zakresie nie zostały — niestety — doprowadzone do końca. Pierwsze to Encyklopedia Wychowawcza, zapoczątkowane jeszcze w ubiegłym stuleciu w epoce pozytywizmu; drugie — to Encyklopedia Wychowania z lat trzydziestych.

Encyklopedia Wychowawcza dobrze świadczy o naszym rynku naukowym i świadomości pedagogicznej w okresie pozytywizmu warszawskiego i w okresie popozytywistycznym. Należy ona do pierwszych tego rodzaju zamierzeń encyklopedycznych na świecie. Pomysł był bardzo ambitny, lecz nie został zrealizowany w całości. O ile dobrze świadczy o inicjatorach naszej Encyklopedii jej zamysł, rozmiary i poziom opracowania, o tyle złe świadectwo wystawiamy sobie, że dzieła tego nie potrafiliśmy doprowadzić do końca. Można to tłumaczyć trudnościami w opracowywaniu i wydawaniu Encyklopedii, ciężkimi warunkami życia polskiego pod zaborami (subsydiów państwowych nie było, dochód z prenumeraty nie pokrywał kosztów wydawnictwa). Nie zdobyliśmy się jednak na dokończenie dzieła i w warunkach naszej nieopieki po 1918 roku.

Prace nad Encyklopedią Wychowawczą rozpoczął komitet redakcyjny w 1877 roku. W skład jego początkowo wchodził: J. T. Lubomirski, E. Stawiński, P. Przysański i J. K. Plebański, później skład komitetu uległ kilkakrotnym zmianom. Pierwszy tom tego wydawnictwa, zakrojonego na kilkanaście woluminów, został wydany przez firmę Gebethnera i Wolffa w 1881 roku (1). W 1912 roku wyszedł tom ósmy i rozpoczęto wydawanie tomu dziewiątego (Encyklopedia ukazywała się zeszytami). Wojna światowa i brak funduszy spowodowały kilkuletnią przerwę w wydawnictwie. Ostatnią próbę dokończenia Encyklopedii podjęto w 1920

roku z zasiłku Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego. Doprowadzono do końca tom dziewiąty, tj. do litery P włącznie. Na tym prace nad Encyklopedią utknęły. F. Kierski w swojej Podręcznej Encyklopedii Pedagogicznej (1923) informuje, że „w druku znajduje się litera „R”, lecz ten tom już nie wyszedł i nie wiemy, czy się zachowały i ewentualnie gdzie się znajdują materiały zgromadzone do tego i następnych tomów.

Encyklopedia Wychowawcza ma układ alfabetyczny. Składają się na nią na ogół obszernie artykuły, traktujące o rozmaitych zagadnieniach wychowawczych i zasługujących dla wychowania i oświaty postaciach historycznych. Wiele z tych opracowań pozostało do dziś wartościami — o historycznym, a niekiedy unikalnym znaczeniu — rozprawami pedagogicznymi.

Wybuch drugiej wojny światowej w 1939 roku nie pozwolił ukończyć drugiego naszego wielkiego przedsięwzięcia na tym polu — Encyklopedii Wychowania, nad którą prace zostały podjęte w latach trzydziestych przez Naszą Księgarnię, Wydawnictwo Związku Nauczycielstwa Polskiego (2). Pozostały z tego wydawnictwa: tom pierwszy w dwóch częściach, obejmujący omówienie fizjologicznych, psychologicznych, socjologicznych i historycznych podstaw wychowania oraz wykład pedagogiki ogólnej i szczegółowej; tom drugi obejmujący dydaktykę ogólną i szczegółowe dydaktyki przedmiotowe; kilkanaście zeszytów tomu trzeciego, poświęconych organizacji nauczania i wychowania oraz monograficznemu oświeceniu oświaty i szkolnictwa w poszczególnych krajach. Układ bowiem Encyklopedii Wychowania nie jest alfabetyczny, jak w większości encyklopedii i leksykonów, lecz systematyczny, problemowy, nieco podobnie jak na przykład w N. Nohla i L. Pallata Handbuch der Pädagogik (langensalza 1928 i nast. J. Belz).

Encyklopedia Wychowania była niewątpliwie poważnym polskim osiągnięciem naukowym. Opracowana przez szeroki zespół najlepszych polskich naukowców — pedagogów, psychologów,

metodyków, organizatorów wychowania i oświaty — dobrze na ogół odzwierciedla ówczesny stan wiedzy pedagogicznej w Polsce i na świecie. Jakkolwiek znamiennym rysem całości był charakterystyczny dla ówczesnych nauk pedagogicznych eklektyzm w założeniu metodologicznym i przeważnie deskrypcyjna (nie: eksplikacyjna) metoda porównawcza w przedstawieniu zagadnień; jakkolwiek — szczególnie w partiach historycznych — zaznaczyły się w opracowaniu tendencje polityczne ówczesnego państwa polskiego (por. na przykład rozprawę Polskie tradycje wychowawcze), to jednak niezależnie od tego encyklopedia daje bogatą wiedzę pedagogiczną i dla krytycznego czytelnika posiada wartość do dnia dzisiejszego.

Warto przypomnieć, że psychologiczne podstawy wychowania przedstawili w odpowiednich rozprawach Stefan Bailey, Stefan Błachowski, Stefan Szuman i Mieczysław Kreutz; że autorami rozpraw z historii wychowania byli Stanisław Kot i Stanisław Lempicki; że o współczesnych prądach pedagogicznych pisał Bogdan Nawrocki; że autorem oryginalnej rozprawy o pedagogice ogólnej był Zygmunt Mysłakowski, że logiczne podstawy dydaktyki opracował Kazimierz Ajdukiewicz, a dydaktykę ogólną przedstawił Kazimierz Sońnicki, że autorami dydaktyk przedmiotowych byli tacy uczeni i dydaktycy jak Marian Falski,



REPRYWATYZACJA À LA ROZALIN

CD ZE STR 1

jak na prawdziwego pedagoga przystało, nie ma o ich zbyttnich pretensji do młodych ludzi, tylko do ich przełożonego, a przede wszystkim pełnomocnika spadkobierczyni Rozalina pana **Ryszarda Grzesiuli**. On to bowiem był głównodowodzącym całego zajazdu na Rozalin Mały o czwartej rano, 19 lipca. Dozorcy, jak i panu K. Jaszczowi, zabrał wszystkie klucze, w tym do pomieszczeń, w których znajdowała się księgość CUL. Nie oddał zresztą ich do dnia naszej wizyty, tj. 21 lipca.

Innego rodzaju przemoc zastosowano wobec dyrektora CUL **Andrzeja Macenowicza** — nie pozwolono mu opuścić mieszkania, zainteresowało się tym, co działał się wokół i skontaktować się ze swym zastępcą. Mimo to, nie bacząc na niebezpieczeństwo, po dachu i przez płot udało się Macenowiczowi wydostać z ośrodka i zawiadomić o całym zajściu policję w Nadarzynie. O pięć lat razem z trzema policyjnymi radiowozami przyjechał wójt z Nadarzyna **Antoni Michalak**, którego jednak ochroniarze nie wpuszczili na teren ośrodka i z dyrektorem Macenowiczem rozmawiał przez płot. Do godz. 19.00 nie pozwolono także Kazimierzowi Jaszczowi wejść do swego mieszkania, ani podjąć pracy. Zgodę taką otrzymali jedynie pozostali pracownicy CUL po wylegitymowaniu się i poinformowaniu o zajmowanym przez siebie stanowisku.

Zaniepokojony o los swoich podopiecznych zjawił się też zaraz w Rozalinie dyrektor Pogotowia Opiekuńczego nr 2 w Warszawie, **Tadeusz Chala**. Jego niepokój był tym większy, że podczas porannego zajścia uciekli jeden z wychowanków, 13-letni Krzysio. W rozmowie ze mną zarówno dyrektor Chala, jak i kierowniczka kolonii **Anna Przysługowska**, nie wiazieli jednak tej ucieczki z poranną awanturą. Tłumaczyli ją raczej skłonnościami chłopca do ustawicznych ucieczek i zapewniał, że dzieci są poza całym konfliktem pomiędzy CUL a spadkobierczynią Rozalina. Również sympatyczne ich zdaniem są stosunki pomiędzy młodymi ludźmi z ochrony a ich podopiecznymi, o czym zresztą oświadczyć mogłam się przekonana. Czy jednak starsi kolonijści, wśród których nie brakuje 16-, 18-latków nie są świadkami rozgrywającej się pomiędzy dorosłymi awantury? Czy nie wiedzą do czego służy broń, w którą wyposażeni są ochroniarze?

Ich opiekunowie nie podejmują jednak rozmowy na ten temat, natomiast z zadowoleniem informują mnie o świetnych warunkach, w jakich dane jest wypoczywać ich podopiecznym. Jestem przekonana, że większość dzieci po raz pierwszy ma możliwość spędzenia dwóch tygodni na świeżym powietrzu i to w komfortowych warunkach. Wspólnie oglądamy pokoje dwu-, trzyosobowe z wykałekanymi łazienkami. Do dyspozycji dzieci jest także znajdująca się obok stołówek świetlica, boiska i park. — Mammy zapewnienia, iż do końca naszego pobytu tj. do 29 lipca w Rozalinie będzie spokój i nie dzieciom nie zagraża — informuje kierowniczka kolonii.

WAŻNE TO JE, CO JE MOJE

— A co będzie po tym terminie? — pytam pełnomocnika spadkobierczyni, pana R. Grzesiulę. Odpowiada: — Zobaczmy jak wygląda sprawiedliwość w III RP. Ze Stowarzyszeniem „Polskie Uniwersytety Ludowe” nie zamierza pertraktować, bo jest ono tylko podnajemcą, któremu na dodatek MEN już pół roku temu wypowiedziało umowę. Stanowczo zaprzecza opiniom, jakoby pałac po wojnie był jedną wielką ruiną. Twierdzi, że rodzice pani Krysowskiej odbudowali po wojnie pałac i dlatego potem przez jakiś czas był on ośrodkiem Urzędu Rady Ministrów. Moje pytanie — skąd mieli na to pieniądze w tych ciężkich powojennych czasach — zbywa milczeniem.

Dość sensacyjnie natomiast ripostuje, kiedy wspomina o zawalonych piwnicach, w których obecnie kosztem ogromnych nakładów urządzono nowoczesne oryginalne pomieszczenia. Otóż jak mnie poinformował pan pełnomocnik, zniszczonych tych dokonano wojsko — oficjalnie Wojskowe Przedsiębiorstwo Budowlane nr 5, a nieoficjalnie ci, którzy szkolili agentów wywiadu. W efekcie przyznał więc, iż organizacje

młodzieżowe otrzymały zrujnowany budynek, który w niczym nie przypomina jego obecnego wyglądu (z tym, że to stwierdzenie ma u pana Grzesiuli negatywne znaczenie, bowiem orestaurowano pałacyk bez zgody konserwatora zabytków).

Pełnomocnik pani Krysowskiej — spadkobierczyni Rozalina twierdzi, że do takiego sposobu zajęcia pałacu miała ona pełne prawo, a upoważnia ją do tego dokument stwierdzający, że posiadłość Rozalin Mały jest jej własnością. Zaś we własnym domu można nawet siekierą rąbać, a nie tylko zamki zmieniać. Jednocześnie krytykując działalność CUL zarzuca mu przede wszystkim komercjalizm, przedstawiając jednocześnie wizję tego, co ma tu się dziać po zmianie gospodarzy. Planują urządzić tutaj przede wszystkim kabiny do nauczania języków obcych i kursy specjalistyczne.

— Czy to nie będzie komercja? — pytam. I nie uzyskuję odpowiedzi. W tej sytuacji nie pytam już co z zadeklarowaną wcześniej bankowi PKO SA ofertą sprzedaży Małego Rozalina za 54 mld zł (mówi się, że pełnomocnik ma mieć z tej sumy około 15 proc.).

W tym miejscu wypada zaznaczyć, iż w księdze wycieczek wartość nieruchomości wyceniono na ok. 2 mld zł, zaś rzeczoznawca z listy wojewody na 19,5 mld zł. Do kwoty tej dodać należy jeszcze — jak szacunkowo obliczył księgowy CUL — około 3 mld zł wartości majątku ruchomego i wyposażenia. Wypada także poinformować, iż nie widać u pana pełnomocnika, dla którego nienaruszalność własności prywatnej zdaje się być rzeczą świętą, żadnego zażenowania, kiedy wspomina o bezprawnym korzystaniu zarówno spadkobierczyni, jej rodziny a także 20 ochroniarzy ze sprzętów (stylowych mebli robionych na zamówienie w Henrykowie), pościeli, pięknej zastawy porcelanowej (wartę około 50 mln zł) itp. Zauważa tylko nerwowo, że można to wszystko zabrać, tylko nie wiadomo dlaczego Uniwersytet, a szczególnie dyrektor Macenowicz nie chce uwierzyć w to, że będzie musiał Rozalin opuścić. W maju, jak poinformował pełnomocnik, zaproponowano mu pracę na tym samym stanowisku u pani Krysowskiej ale on tę propozycję odrzucił oświadczając: myśmy sroce spod ogona nie wypadli.

MINISTER WYPOWIADA I POLECA

Dyrektor Macenowicz wygląda na bardzo zmęczonego, mimo to się nie poddaje. Wspiera go dzielnie sekretarz generalny z SPUL **Maria Jóźwiak** i ludzie od lat związani z uniwersytetami ludowymi. Wszystkich ich bulwersuje nie to, że pani Krysowska odzyskała prawo do swej własności, lecz sposób jej przejęcia. Najwięcej pretensji mają jednak do ministra edukacji prof. Zdobystawa Flisowskiego. Po pierwsze dlatego, że — ich zdaniem — bezpodstawnie wypowiedział umowę podpisaną zaledwie 2 lata temu z SPUL na okres 5 lat. A po drugie — że cały dorobek uniwersytetu w Rozalinie załadował kazał na dwie ciężarówki i wywieźć nie wiadomo gdzie. A wszystko to nie przy użyciu rąk któreś go swych ministerialnych urzędników, lecz rękami kuratora Włodzimierza Paszyńskiego. Bowiem zaledwie w trzy dni po przekazaniu budynków uniwersytetów ludowych w gestię kuratorów oświaty, minister Flisowski wysłał fax do kuratora Paszyńskiego, w którym polecił przekazać w dniu 1 lipca o godz. 9.00 pani Krystynie Krysowskiej lub jej pełnomocnikowi panu Grzesiuli w obecności kierownika urzędu rejonowego w Pruszkowie lub osoby upoważnionej cały majątek ruchomy przejęty od Stowarzyszenia Polskie Uniwersytety Ludowe w dniu 22 czerwca 1993 r. Środki trwałe ruchome i wyposażenie przejął polecił kuratorowi.

W tym miejscu warto cofnąć się o 6 miesięcy, tj. do grudnia ubiegłego roku, kiedy to minister Flisowski dość nieoczekiwanie dla SPUL powiedział go o wypowiedzeniu z dniem 1 stycznia 1993 r. umowy zawartej na początku lutego 1991 r. Przy czym za podstawę wypowiedzenia powołuje się na paragraf 10 wyżej wymienionej umowy, w której poza sześciomiesięcznym terminem wypowiedzenia dopuszcza się jego możliwość „z powodu niewykorzystania przez SPUL majątku zgodnie z przeznaczeniem”. Minister zarzuca Stowarzyszeniu brak troski o odbudowę i konserwację budynków. Stwierza ponadto, iż nie ponosi ono żadnych kosztów utrzymania



Pałacyk — jeden z kilku obiektów, o które toczy się spór w Rozalinie

Fot. Jan Balana

i administrowania uniwersytetu, bowiem kieruje do nich wyłącznie środki otrzymane z MEN. Pełni więc rolę zbędnego pośrednika, a nie administratora, jak to przewidziano w umowie. Przeciwno takiej argumentacji stanowczo zaprotestowali działacze SPUL.

— MEN nie miał żadnych podstaw do zerwania z nami dopiero co podpisanej umowy, a już z pewnością na podstawie art. 10 — mówi rozważała M. Jóźwiak. — Przecież nikt nigdy nie czynił nam najdrobniejszego nawet zarzutu, że prowadzimy działalność niezgodną z naszym statutem, który zresztą został zaakceptowany przez MEN. Nie potwierdzili tego także kontrole wewnętrzne, resortu i NIK-u. Także w bezpośrednich rozmowach z ministrem Flisowskim nic nie zapowiadało wypowiedzenia umowy. Wręcz przeciwnie — wspólnie planowaliśmy w CUL imprezę oświatową o charakterze międzynarodowym.

Stąd w piśmie SPUL do ministra czytamy m.in.: „Obawiamy się, że pismo pana ministra jest wynikiem szeregu nieporozumień, które chcemy usunąć...” a także „pozostaje w głębokiej sprzeczności ze stanem wiedzy i dokumentacji, jaka jest w posiadaniu odpowiednich urzędników ministerstwa”. Z nich zaś jasno wynika, że w roku 1991 Stowarzyszenie na remonty i wyposażenie uniwersytetów ludowych przeznaczyło 1 mld 630 mln zł, a w roku 1992 — 1 mld 019 mln zł. MEN w wymienionych latach nie przeznaczyło na ten cel ani jednej złotówki. Natomiast o ile w 1991 roku MEN w 48 proc. pokrył wydatki na koszty utrzymania bazy materialnej i dydaktyki (par. 6 podpisanej umowy określał dotacje na zasadach takich jak szkół społecznych), to w 1992 roku — zaledwie w 8 proc.

W świetle tych dokumentów Sąd Rejonowy II Wydział Cywilny Warszawa — Śródmieście, do którego zwrócił się SPUL o pomoc, nie powinien mieć trudności z ustaleniem tego, na czym garnuszek tak naprawdę były uniwersytety ludowe. Wypada zaznaczyć, iż początkowo Stowarzyszenie zwróciło się w tej sprawie za pośrednictwem MEN do Naczelnego Sądu Administracyjnego, który jednak uznał, że rozpatrzenie jej leży w gestii Sądu Cywilnego. Tak więc przekazanie uniwersytetów ludowych, w tym

także CUL, kuratorom oświaty nastąpiło przed orzeczeniem sądu w sprawie wypowiedzenia umowy.

Dla działaczy Stowarzyszenia ważniejsza jednak, od formy w jakiej rzucał się z nimi ministerstwo, była ciągłość pracy oświatowej. Tę zaś gwarantowała nowa umowa spisana z kuratorem warszawskim. I nie ma w tym nic nadzwyczajnego, jeżeli przyjąć, że obydwie instytucje prowadzą kształcenie ustawiczne i mają na względzie dobro polskiej edukacji. Funkcję administratora powierzono dotychczasowemu dyrektorowi Macenowiczowi, który jednak, kiedy minister edukacji zażądał wywieżenia majątku z Rozalina, zrezygnował z niej.

NIESUBORDYNACJA KURATORA

Ciężarówkę 1 lipca odjechała pusta. W CUL odbywało się w tym czasie polsko-amerykańskie seminarium, w którym uczestniczyli dwóch byłych senatorów USA (stąd dwaj ochroniarze przy bramie). Nie zjawił się bowiem w Rozalinie przedstawiciel Urzędu Rejonowego Pruszków. Minister Flisowski, niezadowolony z takiego przebiegu sprawy, w piśmie skierowanym do kuratora Paszyńskiego zapowiada wyciągnięcie konsekwencji służbowych. Jednocześnie żąda natychmiastowego zabrania mienia ruchomego z Rozalina Małego i do 12 lipca powiadomienia go o wykonaniu polecenia.

W dniu tym, jak na zdyscyplinowanego podwładnego przystało, kurator Paszyński poinformował ministra o powodach prawnych i praktycznych, które uniemożliwiły mu wykonanie polecenia. Jednocześnie kurator wyraził swoje zaniepokojenie dotyczące sposobu rozliczeń finansowych związanych z całą tą sprawą. W tydzień później spadkobierczyni Rozalina i jej pełnomocnik, nie czekając na żadne wyjaśnienia sądowe, rozliczenia finansowe ani tym bardziej na ustawę o reprivatyzacji siłą zajęli Rozalin Mały. Rzecznik prasowy wojewody warszawskiego poinformował, iż „zajęła pani Krystyna Krysowskiej ma wszelkie znamiona działań pozaprawnych. Wejście w użytkowanie przywrócone prawowitemu właścicielowi może odbyć się tylko na podstawie nakazu eksmisyjnego wydanego przez sąd lub ugody z dotychczasowym użytkownikiem”.

Centralny Uniwersytet Ludowy w Rozalinie powstał w 1982 r. i jest jednym z 12 uniwersytetów ludowych działających w Stowarzyszeniu „Polskie Uniwersytety Ludowe”. Placówki te korzenie swe wywodzą z początku XIX w. z duńskiej myśli pedagogicznej Mikolaja Grundtviga, protestanckiego pastora, poety i organizatora kształcenia na wsi.

Ideę uniwersytetów ludowych przeniósł do Polski i dostosował do naszych warunków prawie 70 lat temu Ignacy Solarz. W latach międzywojennych słynne były prowadzone przez niego uniwersytety ludowe w Szychach K. Krakowa i w Gaci K. Przeworska. Cel jaki w nich realizowano i jaki do dziś przyswiera ich praktykę: uczynić z chłopca człowieka samodzielnie myślącego i obudzić w nim pragnienie duszy wolnej, która swą godność, wagę zadań i spraw podjąć musi dla wsi i dla Polski.

Po wojnie, w latach 50. uniwersytety ludowe uznane zostały za wroga ustroju. W latach następnych podporządkowano je organizacjom młodzieżowym, w których starały się zachować swą programową samodzielność. UL kształcił działaczy i animatorów kultury wiejskiej, organizowały różnorodne kursy oświatowe dla rolników, nauczycieli, młodzieży. Od 20 lat ściśle współpracują z Radą Narodową, która zrzesza uniwersytety ludowe w krajach skandynawskich, a także z uniwersytetami ludowymi w RFN.

Obecnie praca uniwersytetów ludowych ukierunkowana jest głównie na reorientację zawodową, kształcenie pracowników i organizatorów samorządów terytorialnych, szkolenie menedżerów oraz realizację programów edukacji dla demokracji. W planach SPUL jest także powołanie w Rudziskach Pasmiejskich Europejskiego Uniwersytetu Ludowego. Byłby on miejscem spotkań i otwartego dialogu młodych ludzi z całej Europy.

Jak nas poinformowało o tym wielkie bulwersujące zajściu Kuratorium warszawskie powiadomiło Prokuraturę Wojewódzką, a Stowarzyszenie Polskie Uniwersytety Ludowe i wójt gminy Nadarzyn — Prokuraturę Rejonową w Pruszkowie. Stowarzyszenie zwróciło się także o pomoc do prezydenta Lecha Wałęsy i premier H. Suchockiej. Policja, jak dotąd, nie zainteresowała się tym, co dzieje się za bramą pilnie strzeżoną w dzień i w nocy, i na której widnieje ostrzegawczy napis: Wstęp surowo wzbroniony. Rzecznik prasowy komendanta stołecznego policji, komentując zajęcie siłą Rozalina Małego poinformowała PAP, iż Krysowska miała prawo wejść na teren posiadłości w Rozalinie, ponieważ ma akt własności i że na razie nie ma uprawnia funkcjonariuszy do reakcji w tej sprawie. MEN indagowany przez dziennikarzy wydał półtorastronicowy komunikat, którego istota zawiera się w jednym zdaniu — „Nie popiera działań pozaprawnych, których sceną stał się obiekt w Rozalinie, podejmowanych przez SPUL, a ostatnio również przez właścicieli”.

Jaki będzie dalszy rozwój wydarzeń — trudno przewidzieć. Koloniści opuszczają wprawdzie pałac 29 lipca, jednak ich obecność nie powstrzymała K. Krysowskiej i jej pełnomocnika: do przejęcia swej posiadłości siłą. Wiadomo natomiast już na pewno, że nie przyjadą w sierpniu do Rozalina na swe zgromadzenie piłkarze Legii, nie odbędzie się międzynarodowa konferencja zorganizowana przez Uniwersytet Warszawski ani też konferencja dyrektorów warszawskich szkół. Odwołać także trzeba było zaplanowany znacznie wcześniej przyjazd 30-osobowej grupy młodzieży z Danii.

Trzeba przyznać, iż sposób i tempo w jaki MEN zamierzało przekazać Rozalin Mały jego spadkobierczynie budzi zdziwienie i niepokój. W całej tej sprawie przyjmuje bowiem bardziej postawę rzecznika interesów K. Krysowskiej i jej pełnomocnika — aniżeli skarbu państwa.

Nikt, w tym także działacze SPUL, nie kwestionują prawa do własności i oddania tego, co kiedyś nieślusnie zabrano. Rzeczą jednak w tym, że obecny zespół pałacowy w Rozalinie Małym to nie ten sam obiekt, który przed 44 laty zarekwirowało państwo (dzisiaj znajduje się na tym terenie 9 zabudowań, a nie tylko 2, jak w 1949 r.). Jego odbudowa, modernizacja, wyposażenie i utrzymanie kosztowało nas wszystkich ogromne sumy pieniędzy. Wszyscy przecież odbudowywaliśmy stolicę, ratowaliśmy zabytki, w tym także takie jak Rozalin. Kto zatem upoważnił MEN do tak beztrojskiego oddawania czegoś, w co my wszyscy zainwestowaliśmy trochę grosza. Czy w imię sprawiedliwości dziejowej — na którą powołuje się tak często pełnomocnik spadkobierczyni — nie należało dokonać dokładnej inwentaryzacji tego wszystkiego, co przez te wszystkie lata wybudowano i zgromadzono w Rozalinie Małym. Wtedy z pewnością, pomijając już aspekt ekonomiczny, nie przysłano by dwóch ciężarówek na dybekt CUL i mocno by się zastanowiono, gdzie go wywieźć i jak zabezpieczyć.

Pospiech w załatwianiu takich jak powyższe spraw z pewnością nie jest wskazany, choć z punktu widzenia interesów spadkobierczyni Rozalina wydaje on się być jak najbardziej uzasadniony. W przygotowywanej wszak ustawie reprivatyzacyjnej mowa jest nie tylko o zwrocie w naturze, ale i w bonach. Co innego jednak sprzedać pałac, hotel na 70 miejsc, stołówkę, świetlicę, pomieszczenia gospodarcze, a co innego zaproponować kupno bonów.

KRYSTYNA STRUŻYNA

KARTKA Z WĘGIER

GODNOŚĆ klucznika w szkole winiarskiej zwyczajowo przypada dyrektorowi szkoły. Dr Kiszely Pal ogromnym kutym kluczem otwiera piwnicę. Po obu stronach spokojnie leżących ogromne beczki, niektóre pięknie rzeźbione, z najprzedszytnym trunkiem. Postanawiamy sprawdzić, czy rzeczywiście najlepiej węgierskie wino smakuje w piwnicy u producenta...

Po degustacji wstępnej (kilka kieliszków, każdy z innej beczki) stwierdzamy, że najlepszy jest Olaszrizling — włoski rizling (nazwa pochodzi od rodzaju grona). Trafiliśmy! Jest to niewątpliwie najlepsze wino produkowane na Węgrzech. W tym roku szkoła winiarska z Balatonfüred otrzymała za niego złoty medal! Wypiliśmy więc nim *egeszegedre* za kolegów z Polski i Węgier. Kiedy byliśmy o krok od wskrzeszenia monarchii w Polsce, aby dać szansę kolejnemu Batoremu — opuściliśmy piwniczkę.

Włoski rizling jest doskonały, ale dla Węgrów najlepszym *przysiacielem*, *czasami jedynym* — twierdzą — a już na pewno *najwierniejszym* jest „Szary braciszek” (Szürkebarat). Pochodzi z gron wyrosłych na stokach Badacsony i okolic. Nad północnym Balatonem rosną winogrona białe, dające wino typu rizling, biorące nazwę na przykład od najstarszego i największego kurortu balatońskiego: Balatonfüred, który stał się sławnym uzdrowiskiem już w połowie XIX wieku. Mówi się o nim „raj dla sercowców”. Przybywali tu na leczenie najwięksi tego świata. O leczniczym źródleku pisało wiersze. Jeden z nich uświatła nam przetłumaczyć Elzbieta Diener, logopeda Rejonowej Poradni Wychowawczo-Zawodowej nr 3 w Kielcach, dobrze znająca węgierski. Język jest bardzo egzaltowany i archaiczny. Nie rozwija się dynamicznie, więc i nie zmienia tak szybko jak inne. Jest np. około stu zwrotów oznaczających podziękowanie. Niestety żadnego nie udało mi się poprawnie wymówić, miałam kłopoty nawet z *Szürkebarat*.

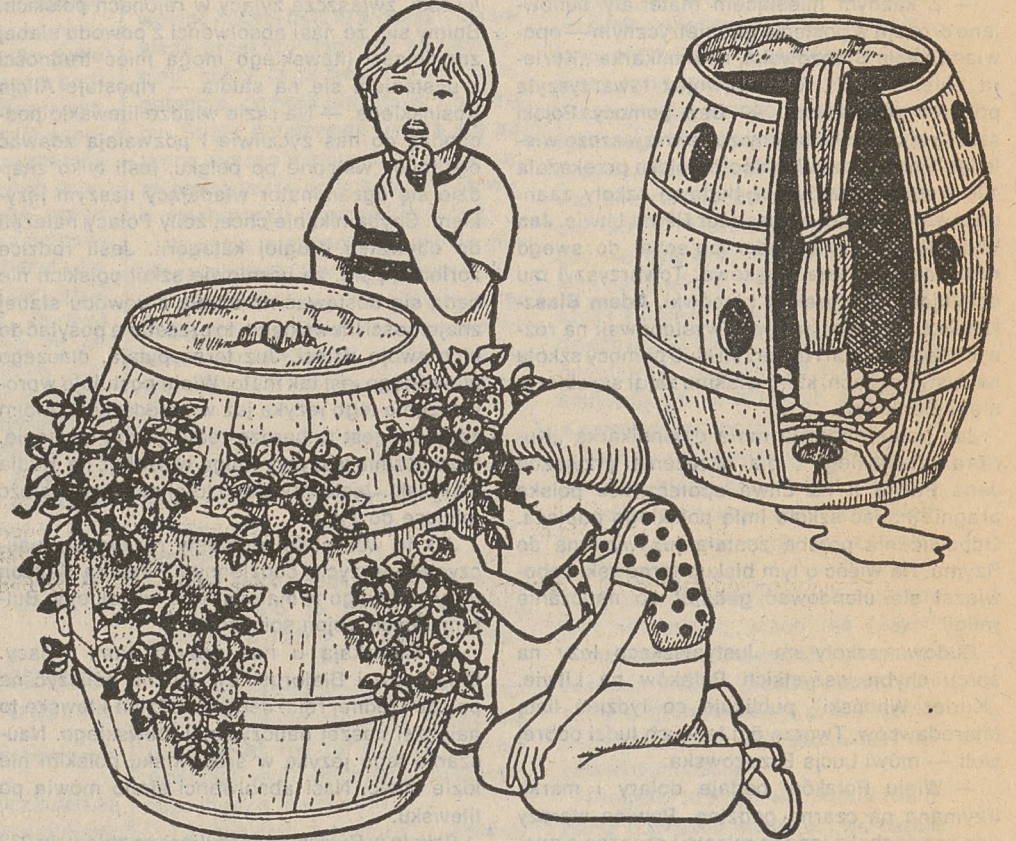
Węgrzy tłumnie przyjeżdżają nie tyle nad Balaton, co do swoich domków w Balatonfüred. Całe wzgórze są usiane białymi domkami z mniej lub bardziej spadzistymi dachami. Ich właścicielami w połowie są mieszkańcy Budapesztu oddlego o około 140 km. Dojeżdżają tu najczęściej starymi trabantami. Posiadanie dobrego samochodu nie jest dla Węgry tak ważne jak dom. Na jego utrzymanie idą niekiedy wszystkie oszczędności. Na Węgrzech jest coraz trudniej żyć. Duże bezrobocie jest najbardziej przegniebiającym zjawiskiem na Węgrzech. Nie ma tu małego biznesu, dopiero się organizuje. Węgrzy nie lubią improwizacji i ryzyka, dlatego trudno im znaleźć się „natychmiast” w kapitalizmie. W Balatonfüred jest wiele prywatnych maleńkich winiarni, ale już tylko niewielka liczba „Delikatesów” i dwa, a może trzy sklepy z „antykami”, gdzie wyklesponowane są stare wagi, łopaty i dzieże do chleba — słowem wszystko ściągnięte ze wsi węgierskiej.

WĘGRZY cały urlop spędzają pracując koło domu. Wystrój każdego z nich jest inny. Ogródki, trawniczki, każdy inny. Ta wyjątkowo i zawsze piękna aranżacja domu i ogródka ma koniecznie przyciągnąć oko poszukującego pokoju (lub apartamentu) turysty. Na każdym (prawie) domu widać z daleka: „zimmer frei”. A chętnych niewielu. Najczęściej pojawiają się Niemcy... nierazko potem składają propozycję gospodarzom, że byliby skłonni kupić ten dom. Na ogół spotykają się z odmową, a nawet z niechęcią. Węgrzy także się boją, że Niemcy (Austriacy) „ich

NAJWIERNIEJSZY „SZARY BRACISZEK”

wykupia”. Jakkolwiek kapitał obcy ich nie zalewa. Cokolwiek są zdziwieni informacjami, że my z naszych polskich mass mediów wiemy, że kapitał zachodni najczęściej inwestuje na Węgrzech. Twierdzą, że oprócz zainstalowania się General Motors o niczym innym im nie wiadomo. Są za to przekonani, że Polska ma większe szanse. To co wiedzą to na pewno to, że bezrobocie rośnie, inflacja według danych urzędowych jest 17-procentowa, ale faktycznie osiąga 30 proc. rocznie. Żyją więc oszczędnie, pracują wytrwale. Złośliwi twierdzą, że mało ambitnie „stad — do tad”, ale to przecież sprawa charakteru. Możliwie pokrywają ekskluzywnie słomiane dachy trzciną z Balatonu, podlewają

się liśćmi i wino zaczyna „pracować”. Jest to najbardziej dynamiczny i burzliwy proces. Nad każdą unosi się dwutlenek i tlenek węgla (czad) i rozlega się przyjemny dla ucha bulgot. Mniej więcej po 3 tygodniach moszcz przestaje „pracować”. Wówczas przelewa się go do beczki — najlepiej z dwoma otworami. Wino w leżącej beczce, oczyszcza się. Wszelkiego rodzaju zawiesiny i nieczystości opadają na dno i tu się przydaje drugi otwór, z którego można wypuszczać tę „szumowinę”. Korki są nadal zamknięte. Wino się maceruje, czyli oczyszcza. Niecierpliwi, nie mający zapasów z lat poprzednich — już w grudniu, na Boże Narodzenie odlewają pierwsze butelki. Najlepsze jest jednak pod



kwiatki i trawniki, mimo że woda tu najdroższa na Węgrzech.

Prawie wszyscy, którzy tu mieszkają na stałe, a najczęściej pracują w pobliskim Veszprem, mają winnice. Duże i małe. Najmniejsze to te, z których można utoczyć 500-litrową beczkę wina. Właściciele winnic koło domu mają piwnice zajmującą część ogrodu. Bardzo rzadko można spotkać winiarnię w podziemiach domów; od lat bowiem zdarzały się wypadki zaccadzenia. W czasie fermentacji moszczu z kadzi wydobywa się tlenek węgla, który obezwładniał, a potem dusił ludzi przebywających w piwnicy.

O tym jak się robi wino można słuchać godzinami, wysuszając kolejne gąsiorek. Okazuje się, że procedura jest bardzo prosta... Najważniejsze jednak, żeby było z czego — śmieją się Węgrzy. Grona zbiera się około 15 października, im później tym więcej cukru w owocach. Czasami, niestety można ten moment przegapić, jeżeli okaże się, że szybsze będą plaki: to są minuty. Nagle nad Balatonem zaczyna się robić szaro. Ogromne stada ptaków (podobne do naszych szpaków) pojawiają się nad wodą. Moment i na poletko z winogronami opadają ptaki pod wodzą największego. Po kilku minutach z winogron nie pozostaje ślad. Nie boją się ani strachów, ani wymachiwania kijem. Ten niecy procedural uprzedza o lat.

Do winobrania potrzebna jest pomoc sąsiedzka. Zebranie owoców i ich przetróbie nie musi odbywać się w ściśle określonym czasie. Najpierw z grona w prasie wyciska się sok i zlewa do kadzi, potem pozostała miazgę przepuszcza się przez prasę i dodaje do soku. Kadź przykrywa

koniec kwietnia. Skoro już naruszyliśmy zawartość beczki, trzeba pamiętać o tym, aby przelać wino do mniejszej, a potem jeszcze do mniejszej po to, aby beczka była pełna. Wtedy mniej jest tlenu i wino nie kwaśnieje.

Najważniejszy dla jakości wina jest moment fermentacji. Musi ona dotrzeć do końca. Wówczas otrzymamy najlepsze wino: wytrawne bez żadnych frakcji. Przerwanie fermentacji wcześniej po to, aby było słodsze zwane półwytrawnym czy deserowym, to dla Węgry — profanacja! Z pobłażaniem lub wręcz pogardą odnoszą się też oni do zabiegów „uszlachetniających” wytrawne wino. Nawet o winach ziołowych mówią, że są „podrasowane”.

Właśnie takim prawdziwym wytrawnym był szkolny włoski rizling, który zdobył złoty medal. Smaków wina jest wiele, ale zależy to wyłącznie od rodzaju winogron. Gospodarze piją wina dużo, ale jeszcze im zostaje... Niestety kupców jest coraz mniej, mimo że jest ono bardzo tanie. Przed wiekami i później także na przykład w okresie międzywojennym Polska miała ogromny wkład w rozwój gospodarczy naszych bratanków... Beczki z winem, a niekiedy z samym moszczem, wędrowały do Polski. Najchętniej kupowaliśmy tokaj. Węgrzy pamiętają nawet daty. Tylko w ciągu trzech lat około 1740 r. przez południową granicę przejechało ponad 60 tys. beczek tokaju. Czy teraz nie mielibyśmy ochoty na ich wino, pytają?... TERESA KONARSKA

NIE ZRÓBCIE NAM ZAWODU

CD ZE STR. 1

o tym, w jaki sposób dostosować te podręczniki do naszych litewskich warunków, jaki jest poziom uczniów itd.

— Jeśli autorami podręczników są pedagodzy z Litwy, to piszą je korzystając ze wskazówek polskich metodyków — informuje przedstawicielka litewskiego ministerstwa. Na przykład nasza bardzo uzdolniona nauczycielka nauczania początkowego, **Barbara Olszewska**, która przygotowuje podręcznik do klasy I, była niedawno na konsultacjach w Polsce. Z czymkolwiek byśmy się zwrócili do Polski, zawsze otrzymujemy życzliwą pomoc.

Przy okazji pani Kosinskiene poinformowała, że władze litewskie również prychylnie odnoszą się do szkolnictwa polskiego. Może dlatego, że Litwini znaleźli się w podobnej sytuacji. Ich szkolnictwo przeżywa także renesans, zaś litewski i polski były do niedawna językami drugiej kategorii.

Niestety, Litwa przeżywa obecnie głęboki kryzys gospodarczy. Jednym z najdokuczliwszych objawów jest galopująca inflacja. To właśnie ona w dużym stopniu niweczy wysiłek budowniczych szkoły na Justyniskach.

— Z każdym miesiącem materiały budowlane drożeją w postępie geometrycznym — opowiada **Łucja Brzozowska**, dziennikarka „Kuriera Wileńskiego”, która również towarzyszyła polskim pedagogom. — Bez pomocy Polski szkołę tę budowalibyśmy zapewne jeszcze wiele lat. Tylko sama Wspólnota Polska przekazała 190 tysięcy dolarów. W budowę szkoły zaangażował się także ambasador RP na Litwie, **Jan Widacki**. Pan ambasador pojechał do swego rodzinnego miasta, Krakowa. Towarzyszył mu działający już dyrektor placówki, **Adam Błaszkievicz**. Obydwaj panowie występowali na różnych spotkaniach i utworzyli klub pomocy szkole na Justyniskach, który właśnie zajął się zbieraniem pieniędzy.

Jak poinformowała mnie dziennikarka „Kuriera Wileńskiego”, dla uczczenia przyjazdu Jana Pawła II na Litwę społeczność polska pragnie nadać szkole imię polskiego papieża. Odpowiednia prośba została już wysłana do Rzymu. Na wieść o tym biskup tarnowski zobowiązał się ufundować gabinet do nauczania religii.

Budowa szkoły na Justyniskach leży na sercu chyba wszystkich Polaków na Litwie. „Kurier Wileński” publikuje co tydzień listę ofiarodawców. Tworzą oni łańcuch ludzi dobrej woli — mówi Łucja Brzozowska.

— Wielu Polaków oddaje dolary i marki, trzymane na czarną godzinę. Pewien starszy pan przyjechał z innego miasta i prosząc o anonimowość przekazał 20 dolarów i 5 rubli carskich w złocie.

Czym jeszcze żyją Polacy na Litwie? — Musimy przede wszystkim dobrze ułożyć stosunki z Litwinami — odpowiada Alicja Kosinskiene. — W czasach istnienia Związku Radzieckiego wystarczała znajomość rosyjskiego. Żeby dziś uczestniczyć w życiu zawodowym i publicznym na równych prawach musimy dobrze znać język litewski. Dlatego robimy wszystko, aby nauczanie języka litewskiego w szkołach polskich odbywało się na wysokim poziomie. Lekcje prowadzą z reguły rdzenni Litwini. Zajęcia rozpoczy-

nają się w trzeciej klasie po 3 godziny tygodniowo. Jeśli jest odpowiednia liczba nauczycieli, nauka litewskiego może odbywać się już w klasie drugiej. W starszych klasach liczba godzin wzrasta do czterech tygodniowo.

Alicja Kosinskiene jest zdania, że dla lepszego opanowania języka litewskiego przynajmniej jeszcze jeden przedmiot powinien być wykładany w tym języku. **Danuta Kuzborska**, nauczycielka ze znanej szkoły wileńskiej imienia Syrokomli obawia się jednak, że byłby to początek litwinizacji polskich szkół. Nauczanie po litewsku, na przykład fizyki, spowodowałoby konieczność wprowadzenia tego języka do pozostałych przedmiotach ścisłych.

Danuta Kuzborska nie neguje potrzeby perfekcyjnego władania litewskim przez Polaków. Wolałaby jednak, żeby polskie szkoły zachowały swój narodowy charakter. Przecież są inne sposoby opanowania języka. Podaje przykład swojej córki, która zdała w tym roku do piątej klasy. Zawsze wywoziła ją na wakacje w środowisko czysto litewskie. W szkole muzycznej zapisała ją do grupy litewskiej.

Jednak nie wszyscy rodacy mają takie możliwości, zwłaszcza żyjący w rejonach polskich. Boimy się, że nasi absolwenci z powodu słabej znajomości litewskiego mogą mieć trudności z dostaniem się na studia — ripostuje Alicja Kosinskiene. — Na razie władze litewskie podchodzą do nas życzliwie i pozwalają zdawać egzaminy wstępne po polsku, jeśli tylko znajdzie się egzaminator władający naszym językiem. Chyba nikt nie chce, żeby Polacy należeli do obywateli drugiej kategorii. Jeśli rodzice zorientują się, że uczniowie szkół polskich nie będą się dostawać na studia z powodu słabej znajomości litewskiego, to przestaną posyłać do nich swoje dzieci. Już teraz pytają, dlaczego litewskiego jest tak mało. Wielu postuluje wprowadzenie tego języka już w przedszkolu. Moim zdaniem, jest to bardzo realistyczne myślenie. Przecież nie wszyscy mogą wyjechać na studia do Polski. Jesteśmy stąd i tutaj musimy znaleźć miejsce do życia.

Jak te wszystkie problemy rozwiązują nauczyciele w życiu codziennym? **Janina Sakson** uczy polskiego w małej szkole wiejskiej w Butrymańcach, rejon solecznicki.

— Mieszkają u nas prawie sami Polacy. Ukraińców i Białorusinów można policzyć na palcach jednej ręki. Jedyna rodzina litewska to najbliżsi naszej nauczycielki litewskiego. Nauczanie tego języka w środowisku polskim nie idzie łatwo. Nasi absolwenci słabo mówią po litewsku.

Szkola w Butrymańcach, licząca zaledwie 230 uczniów jest dwuciągowa, ponieważ obowiązują dwa języki nauczania: polski i... rosyjski. Do klas rosyjskich uczęszczają też Polacy (Rosjan w okolicy w ogóle nie ma).

Jak się dowiedziałem od gości z Litwy, właśnie takie szkoły rosyjskojęzyczne były tworzone na wszystkich zaanektowanych ziemiach przez Związek Radziecki. Stanowiły one narzędzie rusyfikacji, ale także szansę awansu społecznego dla przedstawicieli mniejszości narodowych. Nie możemy więc potępiać w czambuł wszystkich Polaków, że wybrali dla swych dzieci takie szkoły.

Klasy rosyjskie w miejscowościach polskich to dla Alicji Kosinskiene twardy orzech do zgryzienia. Straciły one rację bytu, ale zlikwidować ich nie można, zwłaszcza oddziałów starszych, no bo co zrobić z uczniami. Jedyny bezbolesny sposób to zaprzestanie naboru do klas pierwszych. I tak się robi. Ale rodzicom dzieci z klas polskich to nie wystarczy. Nie chcą wspólnych szkół z oddziałami rosyjskojęzycznymi. Jednak operacja rozdzielania byłaby zbyt kosztowna, więc musi pozostać tak jak jest. Poza tym nauczyciele znaleźliby się w dwuznacznej sytuacji. Wielu z nich uczy zarówno w klasach polskich, jak i rosyjskich. Likwidacja czy oddzielenie tych ostatnich oznaczałaby dla nich zmniejszenie zarobków lub nawet utratę pracy.

Pozostałe trudności są... normalne. Największe z pierwszoklasistami. — Mówią gwarą kresową z licznymi naleciałościami białoruskimi, rosyjskimi, litewskimi — opowiada Janina Sakson. — Są to dzieci prostych ludzi, mają więc ubogie słownictwo. Nie potrafią opowiedzieć o swoich przeżyciach, wydarzeniach. Naukę języka polskiego zaczynamy właściwie od podstaw. Dzieci bardzo się starają. W klasie II, III widać rozwój. Dlatego największą pomoc, jaką okazują nam władze polskie, to kolonie dla naszych dzieci w kraju. Wracają i okazuje się, że mówią ślicznie po polsku, a przynajmniej wiedzą, jakie robią błędy.

Uczniów z klas rosyjskich również wysyłamy do Polski. To też nasze dzieci. Zresztą one bardzo chcą uczyć się po polsku. Wielki wpływ ma na nie ksiądz. Chodzą do kościoła. Modlą się i śpiewają w ojczystym języku. Ksiądz uczy religii także w klasach rosyjskich, ale tylko po polsku. W domach też panuje mowa polska. Córka jednej z nauczycielek chodzi do klasy rosyjskiej. Pytamy dlaczego. Odpowiada, że czuje się źle z tego powodu, ale nic na to nie poradzi.

Anna Aleksandrowicz przyjechała z Mejszagoly, małego miasteczka (2 tys. mieszkańców) oddalonego od Wilna o 26 km.

— Mejszagola to ostatnia miejscowość, w której znajduje się szkoła polska — wyjaśnia nauczycielka. — Ściśle mówiąc, jest to placówka polsko-rosyjska. Uczęszcza do niej 400 uczniów, do oddziałów polskich nieco ponad 200. W klasach rosyjskich też są Polacy, ale nie tylko. Mejszagola to miejscowość wielonarodowościowa. Po wojnie zamieszkali tu Rosjanie oraz wysiedleni z Polski starowiercy. Są też Białorusini i Litwini. Ci ostatni chodzili do naszej szkoły, ale się wyprowadzili do innego budynku. Litwa po odzyskaniu niepodległości tworzy teraz sieć własnego szkolnictwa.

Uważam, że nasza szkoła powinna być też podzielona. Zawsze są spory o to, w jakim języku prowadzić rady pedagogiczne czy imprezy ogólnoszkolne. Dyrektor, choć Polak, jest zdania, że po rosyjsku. To my protestujemy. Jeśli nie mogą być po polsku, to niech będą po litewsku — mówimy. No i w rezultacie jest tak, że on zwraca się do nas po rosyjsku, my do niego po polsku. W zasadzie moglibyśmy się podzielić. Po wyprowadzeniu się dwunastu oddziałów litewskich z budynku zrobiło się luźno.

— Niestety, władze litewskie nie mają teraz pieniędzy — wyjaśnia Alicja Kosinskiene — Koszty utrzymania dwóch odrębnych placówek byłyby dużo wyższe niż obecnej jednej. Już sama pensja dla drugiego dyrektora pochłonięłaby znaczną sumę.

Wygląda na to, że Anna Aleksandrowicz więcej zmartwień nie ma. Chwali nauczycielkę litewskiego, rodowitą Litwinę, która jest entuzjastką swego zawodu. Uczy Polaków języka w sposób niekonwencjonalny, między innymi poprzez śpiew i taniec. Efektu są bardzo dobre. Absolwenci dostają się na studia bez problemów, zdając egzaminy wstępne z reguły po litewsku. Czy jednak nie powinny powstawać uczelnie bądź wydziały polskie? — pyta Anna Aleksandrowicz. Z jej obserwacji wynika, że wielu Polaków po ukończeniu uczelni litewskich asymiluje się. Właśnie na ten temat trwa dyskusja na Litwie już od wielu lat.

Polska szkoła w Mejszagole wyraźnie odczuła skutki ostatnich zmian politycznych. — Chyba najbardziej cieszymy się z tego, że Polska jest teraz dla nas blisko — mówi nauczycielka. — Opiekuje się nami gmina Krotoszyn. Nawiazaliśmy też współpracę z Liceum Ogólnokształcącym im. Bolesława Prusa w Warszawie. Prowadzimy wymianę kolonijną. Ostatnio jednak częściej jeździmy do Polski niż młodzież z Krotoszyna i Warszawy do nas. Kryzys daje się we znaki. Goście z kraju mieszkali przy rodzinach. Mało kogo teraz stać na podejmowanie rodaków. Nie wiem, co byśmy zrobili bez więzi z Polską. Dzieci znakomicie szlifują polszczyznę, a ja dostaję to, co jest dla mnie najcenniejsze: książki. Mój gabinet polonistyczny zaopatrzony jest już bardzo dobrze. Mam słowniki, encyklopedie i nawet księgę cytatów. Poza tym dopisało nam szczęście, że Mejszagola leży na trasie pielgrzymek z Polski do sanktuarium Matki Boskiej Ostrobramskiej. Ciągł pod szkołę zajeżdżają autokary. Wysiadają ludzie z książkami. Bibliotekę mamy już tak bogatą, że chyba niejedna szkoła w Polsce mogłaby nam pozazdrościć. Ostatnia pielgrzymka przywiozła nam „Pana Tadeusza” nagranego na kasetach magnetofonowych. Zdaję sobie sprawę, że nasza szkoła jest uprzywilejowana. Szkoda, że inne placówki polskie nie mają tak szerokiego kontaktów z Polską.

— To dlatego, że nie potrafimy się zorganizować — odpowiada Danuta Kuzborska. — Wiele polskich szkół chciałoby nawiązać kontakt z naszymi placówkami, ale nie wiedzą do kogo się zgłosić, więc kierują się do nas, bo szkoła im. Syrokomli jest bardzo znana. Jednak nie jesteśmy w stanie ze wszystkimi współpracować. Może więc „Głos Nauczycielski” publikowałby adresy polskich szkół na Litwie szukających partnerów w Polsce?

Nic dziwnego, że szkoła im. Syrokomli jest tak oblegana. To największa polska placówka na Litwie, licząca 1600 uczniów. Szkoła pęka w szwach. Nauka odbywa się do późnych godzin wieczorowych. Ostatnio, jak określiła to Danuta Kuzborska, zapanował szal.

— Musieliśmy uruchomić aż jedenaście klas pierwszych. Czekamy na zakończenie budowy szkoły na Justyniskach, jak na zbawienie.

Tylko czy ten rozkwit polskości się utrzyma? — To zależy od nas samych, od tego jak ułożymy stosunki z Litwinami. Jak dotąd są one serdeczne, nie licząc nieodpowiedzialnych wybryków garstki nacjonalistów zarówno z jednej, jak i drugiej strony — odpowiada nauczycielka z Wilna. — Ale zależy to też od Polski. Czy będzie, jak dotąd, przodowała w reformach gospodarczych i przemianach społeczno-politycznych oraz jaki osiągnie poziom kulturalny i cywilizacyjny. Prosimy, nie zróbcie nam zawodu.

WITOLD SALAŃSKI

POLSKIE INICJATYWY I OPRACOWANIA ENCYKLOPEDYCZNE

CD ZE STR. 5

Henryk Gaertner, Władysław Szyszkowski, Marian Golias, Zygmunt Czerny, Ludwik Jaxa Bykowski, Mieczysław Jeżewski, Władysław Nikliborc, Władysław Przanowski, Walerian Sikorski, Marian Krawczyk i inni. Encyklopedia Wychowania jako całość nie została wznowiona i zakończona po drugiej wojnie światowej, ale ukazał się szereg jej rozpraw w postaci druków zwartych (publikacji-nadbitek).

Oprócz dwóch przedstawionych wydawnictw — obszernych, lecz nie dokończonych: Encyklopedii Wychowawczej i Encyklopedii Wychowania — posiadamy z okresu między wojnami i dwa mniejsze polskie leksykony pedagogiczne: Podręczną Encyklopedię Pedagogiczną, opracowaną przez Feliksa Kierskiego, wydaną w dwóch tomach w latach 1923-1925 (3), oraz Podręczny Leksykon Pedagogiczny „Przyjaciela Szkoły”, opracowany przez Kazimierza Królińskiego i dodawany poszczególnymi częściami w postaci wkładek w latach 1933-1935 do dwutygodnika pedagogicznego „Przyjaciela Szkoły” (4).

Feliks Kierski (1884-1926) był ostatnim redaktorem Encyklopedii Wychowawczej. Kiedy praca nad tą Encyklopedią ostatecznie zamierała wskutek braku odpowiednich funduszy, szybko i sprawnie opracował swoją zwięzłą Podręczną Encyklopedię Pedagogiczną, wykorzystując do tego materiały Encyklopedii Wychowawczej oraz obcojęzyczne encyklopedie i opracowania monograficzne. Podręczna Encyklopedia F. Kierskiego stała się w ówczesnej Polsce najpopularniejszym i najbardziej rozpowszechnionym źródłem wiadomości i wiedzy pedagogicznej. Do dziś zachowała też pewną wartość jako źródło wielu zwięzłych podanych wiadomości i informacji, zwłaszcza z dziejów naszej oświaty i wychowania. Ma również wartość jako wydawnictwo odzwierciedlające politykę, stan organizacyjny i rozwój naszej oświaty i szkolnictwa w pierwszych latach niepodległości Polski po okresie zaborów.

W okresie powojennym kilkakrotnie rozmaite inicjatywy opracowania współczesnej encyklopedii pedagogicznej nie zostały zrealizowane. Nie udało się takich zamiarów zrealizować ani Państwowemu Wydawnictwu Naukowemu, ani Spółdzielni Wydawniczej „Książka i Wiedza”.

W latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych rokrocznie wkładkę pt. Mała Encyklopedia Pedagogiczna (pod red.

Stefana Wołoszyna) publikował Kalendarz Nauczycielski, wydawany przez Związek Nauczycielstwa Polskiego. Jako zwarta całość rzecz nie została opracowana i opublikowana.

Ponadto na przełomie wspomnianych lat Wydawnictwo Nasza Księgarnia przygotowało opracowany zbiorowo (pod red. Stefana Wołoszyna) obszerny Leksykon Pedagogiczny, którego próbny zeszyt dyskusyjny ukazał się nawet w 1958 roku (5). Prace jednak nad Leksykonem zostały w pewnym momencie zaniechane (przerwane).

Jedynie w latach 1970-71 w zeszytach będących dodatkiem do dwutygodnika „Wychowanie” została opublikowana Mała Encyklopedia Pedagogiczna (główni redaktorzy: Marian Jakubowski, Feliks Korniszewski, Wojciech Pomykało). Opracowanie jest zbiorowe (6). Publikacja ma charakter zbioru od autorskich artykułów-haseł, odnoszących się do ważniejszych zagadnień pedagogicznych, zestawionych alfabetycznie. W latach siedemdziesiątych inicjatywa ta była kontynuowana przez tygodnik „Oświata i Wychowanie” (nowe wkładki encyklopedyczne), rzecz jednak nie została zakończona.

prof. STEFAN WOŁOSZYN

Obażerne fragmenty wstępu do Encyklopedii Pedagogicznej

ŚLADEM NASZYCH PUBLIKACJI

KOGO PREFEROWAĆ?

Szkoda, że właśnie w czasie wakacji pojawił się na Waszych łamach tak ważny dla polskiej oświaty tekst, jakim jest artykuł Juliana Piotra Sawińskiego „Kogo preferować — pracowni-kiego czy zaradnego” („GN” nr 29/93). Problem poruszony to nie tylko rozważania na temat, jak oceniać uczniów, ale szerzej — pytanie o to, kogo w ogóle chcemy wychowywać w polskiej szkole.

Wielu z nas pamięta zapewne z różnych domowych i szkolnych dyskusji powtarzające się rozmowy na temat zdolnych, ale leniwych oraz mniej zdolnych, ale za to pracowitych. Ci pierwsi potrafili niekiedy zabytnąć tu czy tam, często się o nich mówiło (zwykle używając skrajnych ocen). Dalsze ich losy to kalejdoskop życiowych karier — od błyskawicznych awansów po totalną ruinę. Ci drudzy — pracownicy, mniej być może omawiani w szkole. Powoli, ale skutecznie piełsi się do przodu i — na ogół — równie powoli i równie skutecznie kroczą na swojej drodze zawodowej ku sukcesom.

Dziś, kiedy żyjemy w okresie transformacji obyczajowej, społecznej i politycznej minione dylematy stają się jakby mniej istotne. Okazuje się bowiem, że nie wystarczy być dobrym, żeby wygrać. Że trzeba czegoś jeszcze, czegoś co młodemu człowiekowi pozwoli zafunkcjonować na rynku pracy i wygrać.

A więc wracamy znowu do pytania — kogo preferować: pracownitego czy zaradnego? A może szerzej, jak to zaakcentował Sawiński w swoim tekście: „Czy ma to być człowiek pracowity, uległy, systematyczny, sprawiedliwy, spolegliwy itp.? Czy raczej ma to być człowiek samodzielny, odpowiadający, zaradny, pomysłowy, twórczy, otwarty, przedsiębiorczy, innowacyjny itp.? A może przede wszystkim wrażliwy, czuły, kochający, rozumiejący potrzeby innych ludzi oraz naturalne środowisko?” Czy w ogóle możemy zaczynać reformę oświaty bez uzyskania odpowiedzi na tak podstawowe pytanie?

Ścisłe dookreślenie kierunkowego modelu osobowościowego przyszłe-

go wychowanka naszej szkoły dałoby nam z jednej strony wskazania dotyczące metod pracy oraz technik oddziaływania na ucznia. Z drugiej zaś strony pozwoliłoby dokładnie sprecyzować zasady oceniania efektów pracy (a może raczej rozwoju) ucznia.

Ocenianie, punkt wyjścia i główny element analizy artykułu Juliana Sawińskiego. Czy w ogóle mamy prawo oceniać drugiego człowieka bez samooceny oraz analizy pracy własnej włożonej w rozwój danego dziecka? Pan Sawiński dość krytycznie ocenia swoich kolegów — nauczycieli. Píše o swego rodzaju autorytarnym stosunku uczącego do ucznia, o preferowaniu postaw poddających zamiast twórczych, wręcz o „tępieniu i szykanowaniu uczniów zaradnych, samodzielnych i niepokornych w przeciwieństwie do promocyj uczniów pracowitych, systematycznych, a jednocześnie uległych i pokornych. Kwestie powyższe szczególnie są widoczne przy ustalaniu ocen z zachowania. Przez lata oceny te ustalano wspólnie często w towarzystwie przedstawicieli samorządów uczniowskich. Dziś ocenę z zachowania ustala wychowawca. Bywa to niekiedy przyczyną konfliktu wewnątrz rady pedagogicznej, zwłaszcza kiedy nauczyciel, który nie może sobie poradzić z uczniem na swojej lekcji, chciałby przynajmniej zaważyć na jego ocenie z zachowania. Bywa że nadmiernie liberalny wychowawca wystawia swoim podopiecznym same dobre oceny, nie bacząc na to, że wielu z nich zachowuje się nie zawsze tak jak należy.

Nie byłoby problemu, gdyby zamiast słów „dobry”, „odpowiedni”, „naganny” stosować formy opisowe informujące zarówno ucznia, jak i jego rodziców, co z zachowania dziecka w szkole było godne pochwały, a co należałoby odczytywać krytycznie.

Nawiasem mówiąc taki sam system byłby chyba najbardziej odpowiedni również przy ocenie ucznia z innych przedmiotów. Jak wiele bowiem uczniowi mówi stopień dobry czy odpowiedni? Tym bardziej, ile na jego podstawie mogą o rozwoju swojego dziecka dowiedzieć się jego rodzice?

ci się, nigdy nie będziesz miał pozytywnej oceny, itp.

A przecież prawdą ogólnie przyjętą jest, że nauczyciel jest dla dzieci! Wybrał taki zawód, ponoć z powołania, nie z konieczności. Czy nie powinien więc być wzorem postępowania, przykładem człowieka, z którego emanuje ciepło i życzliwość? Dlaczego polskie dzieci nie lubią szkoły i nauczycieli? To nie tylko bylejałość budynków szkolnych, sprzętu i pomocy naukowych, to także brak przyjaźni, serdeczności.

Zawód nauczycielski to jest sztuka przekazywania inspiracji i motywacji dziecku. Konwencję Praw Dziecka z powodzeniem stosują szkoły społeczne, dlatego dzieci tam chętnie idą — nie boją się. Nauczyciel musi umieć znaleźć w uczniu to, co najlepsze, wydobyć to i ukształtować. Pozytywne podejście do dziecka może naprawdę uczynić cuda. Wiara we własne siły jest podstawą sukcesu, także tego na płaszczyźnie szkolnej.

Czas też uświadomić sobie, jak ważne jest pozytywne nastawienie nas samych wobec kolegów — nauczycieli. Wystarczy, że dyrektor szkoły przyjmując młodego nauczyciela powie, że warunki pracy są bardzo ciężkie, że z jego praktyką potrzeba niesamowitego wysiłku itp. Cóż taki człowiek pomyśli: gdybym mógł, to uciekłbym z takiej szkoły na drugi dzień! Ale gdybyż ten sam dyrektor w tej samej sytuacji stwierdził: po mimo krótkiego stażu pedagogicznego jest to wspaniały fachowiec, jego pomysły mogą wnieść wiele nowego. Przyszły nauczyciel poczułby się doceniony i na pewno starałby się nie

Mówimy tak często o potrzebie aktywizacji środowiska rodzicielskiego w procesie edukacyjnym i wychowawczym młodego pokolenia. Czy można jednak zaktywizować kogoś, komu się mówi właściwie tylko o tym, czy jego dziecko w danym okresie otrzymało ocenę „dobrą” albo „odpowiednią” czy inną? Natomiast opis informujący o sukcesach i porażkach dziecka, o nabytej przez niego wiedzy i umiejętnościach oraz o zagadnieniach, nad którymi należałoby popracować — wszystko to byłoby nie tylko opinią (a zarazem oceną) o pracy ucznia w szkole, ale informowałoby jednocześnie o rozwoju dziecka, pozwalałoby (co również sugeruje p. Sawiński) promować do następnej klasy nawet w przypadku nie dość opanowanego fragmentu wiedzy z poprzedniej klasy, a jednocześnie stanowiłoby niezwykle ważne źródło informacji w momencie zmiany przez ucznia szkoły czy też — tak często się zdarzającej w sfeminizowanej szkole — zamiany nauczyciela.

Nie jest to oczywiście sprawa łatwa do załatwienia. Przekonaliśmy się o tym w momencie, kiedy władze oświatowe wprowadziły ocenę opisaną do klasy I szkoły podstawowej. Nie mamy praktyki w motywowaniu naszych ocen. Nie bez zastanawiania, ale przecież często bez głębszej i wielostronnej analizy, wystawiamy naszym uczniom różne „jedyńki”, „trójki”, „piątki” itd. z rzadka tylko siłąc się na wyjaśnienie naszym podopiecznym — dlaczego? Nawiasem mówiąc, gdyby przeprowadzić odpowiednie badania być może okazałoby się, że brak odpowiedzi na owo pytanie — dlaczego akurat taka ocena stanowi jeden z głównych negatywnych elementów ocen nauczyciela dokonywanych przez rodziców bądź uczniów. Zupełnie inna sprawa — choć chciałbym wierzyć, że incydentalna — iż na owo pytanie „dlaczego” nie potrafi niekiedy odpowiedzieć i sam nauczyciel. Ponieważ jednak w tej wakacyjnej atmosferze nie chciałbym nikogo obrazić, więc kończę to pisanie raz jeszcze dziękując panu Julianowi Sawińskiemu za podjęcie tematyki, która wydaje się być podstawową kwestią, jakiej rozwiązania należałoby się spodziewać od dzisiejszej szkoły.

JAROSŁAW KORDZIŃSKI
Krokowa

zawieść danego mu kredytu zaufania! Iluż nauczycieli nie wstydzi się przebrać z okazji żakiny, zatańczyć z uczniem, wypić kawę z rodzicami, a przecież w takich naturalnych sytuacjach zyskuje się najwięcej: życzliwość i serdeczność ucznia i rodzica. Ciągłe jednak znacznie wygodniej czujemy się w roli sędziego najwyższego czy też stróża porządku. Czy nie prościej byłoby zapewnić dziecku odpowiednią rozrywkę podczas przerwy, miejsce, gdzie będzie mogło jak normalny człowiek zjeść śniadanie. Czy w domach rodzice jedzą kolację przy stole, a ich dzieci stoją pod ścianą z kanapką? Dlaczego więc w szkole nauczyciel może wypić kawę, herbatę, a dziecko nie? Uczniowie mają do nas o to uzasadnione pretensje. Stwórzmy im takie warunki, żeby chętnie przychodzili do szkoły i czuli się w niej jak wolni ludzie, których się szanuje i nie obraża. Dopóki nie przejawimy więcej zaangażowania i zrozumienia dla dziecka ze swojej strony, polska szkoła nadal będzie chora, będzie społecznością ludzi teoretycznie wolnych, ale w praktyce tłamszonych przez jakieś paranoiczne przyzwyczajenia kadry nauczycielskiej.

Zbliża się nowy rok szkolny, warto więc jeszcze raz przeanalizować swoją postawę, a nawet sięgnąć do książek z pozytywnego myślenia. Polecam dwie na początek: Dale Carnegie „Jak zjednywać przyjaciół i osiągnąć sukces w życiu” oraz Christopha Linderberga „Szkoła bez lęku”.

Piszę to w trosce o uczniów i wszystkich nauczycieli, zasługujemy na lepsze traktowanie i lepsze życie — spróbujmy pomóc sobie sami!

KRYSTYNA SZYMAŃSKA
Bielawa

NARESZCIE KONIEC MĘCZARNI!

W Polsce według szacunkowych danych jest 4,5 proc. inteligencji. Za kryterium przynależności do tej warstwy uznaje się wykształcenie wyższe. Rzecz jasna, jak dane statystyczne są one nieprecyzyjne, ale poziom wykształcenia jest jedynym kryterium miernym. Predyspozycje umysłowe, poziom wiedzy i kultura są właściwymi wyznacznikami przynależności do inteligencji, ale wymykają się statystyce. Można więc przypuszczać, że w rzeczywistości inteligencji jest jeszcze mniej.

Ludzi zdobywających samodzielnie wiedzę jest niewiele, natomiast dyplom wyższej uczelni niekoniecznie stawia w rzędzie inteligentów. Dlaczego więc w państwie mającym tak niski odsetek inteligencji, a jednak zmierzającym do Europy programowo, niszczy się inteligencję? Zwłaszcza zaś tę jej część, która ma wykształcenie artystyczne bądź humanistyczne?

Najbardziej żaloszny jest los nauczycieli. W ostatnim czasie zaobserwować można było w środkach masowego przekazu nagonkę na nauczycieli, kiedy to podważano ich kompetencje, poziom umysłowy i moralny. Strajk nauczycieli uważa się za rzecz wysoce niemoralną i naganną, nikomu zaś nie przychodzi do głowy, z jakich pensji przychodzi im żyć.

W wielu przypadkach pensje nie sięgają nawet 50 proc. średniej krajowej. Pod tym względem o wiele wyżej stoją robotnicy (nawet niewykwalifikowani), nie mówiąc już o policjantach, służbie penitencjarnej, celnikach.

W których cywilizowanym państwie nauczyciel ma tak niską pensję? W którym cywilizowanym państwie nazywa się pracowników oświaty młotchem?

Mówi się o spadku autorytetu nauczyciela, ale to polityka państwa zmierza wyraźnie w kierunku jego obniżenia.

Od nauczyciela, zwłaszcza humanisty, oczekuje się, aby wciąż się dokształcał, był zorientowany w nowościach wydawniczych, w bieżącym repertuarze teatralnym.

Czasopisma („Kultura”, „Zeszyty literackie”, „Teatr”), książki i bilety do teatru stają się teraz niedostępnym luksusem.

WEEKEND

Wraz z przyjściem wiosny trwa okres pikników, wycieczek, eskapad. Gdzie jedziemy najchętniej? Do Powsina, Pomiechówka i oczywiście na nasze ukochane, piastowane skrzętnie przez cały rok działki. Droga do upragnionego przybytku spokoju jest zazwyczaj ciernista. Przebijamy się przez kilkukilometrowe, weekendowe korki, w których pocąc się z gorącą, zastanawiamy się nad chytrym planem „wykiwania” współtowarzyszy korkowców. Teściowa i dwójka dzieci są wniebowzięci. Głowa rodziny zaczyna zakładać siatkę do gry w piłkę.

Już po pół godzinie wszyscy oblegają przywiezione leżaki i zachłystują się coca colą. Przez pierwsze 4 godziny zabawa jest wspaniała, lecz już w następnych zaczyna królować nuda. Dzieci zerwały siatkę, a w ogóle to coca cola się już skończyła. Teściowa zaczyna działać na nerwy zięciowi, jedynie mama rozkosznych brzdąców leży i opala się, na nic nie zwracając uwagi. Ojciec zdenerwowany do granic możliwości gadatliwością teściowej, szuka sensownego wyjścia z opresji. Po dwudziestu minutach rozmyślań każe „zbierać” się rodzinie i zarządza obchód po sąsiadach — działkowiczach. Żona z pewną ociężałością i wrogim spojrzeniem przyjmuje tę ofertę, posłusznie idzie z całą rodziną do sąsiadów. Teściowa daje na chwilę spokój otoczeniu i przypominając sobie swoje młodzieńcze, har-

Wielokrotnie mówiło się o stresującym wpływie szkoły na uczniów. Ciekawe, dlaczego nikt dotąd nie zauważył, że osobami najbardziej sfrustrowanymi w szkole są nauczyciele, co oczywiście negatywnie oddziałuje na dzieci.

Kto decyduje się na ten zawód musi mieć małżonka zapewniającego byt rodzinie lub zajęcie przynoszące konkretny dochód. Toteż nauczyciel, nie-rzadko przemęczony dodatkowymi zajęciami, nie ma czasu dla swoich uczniów.

Nie jest to jego wina, to sytuacja zmusza go do szukania innych jeszcze źródeł utrzymania. Argument, na który często powołują się dziennikarze i politycy, że praca nauczyciela to nie zawód, to powołanie, wyklucza jakiegokolwiek roszczenia materialne.

Nikt nie pokusił się o poważne i rzetelne przedstawienie problemów środowiska w prasie, radiu czy audycji telewizyjnej. W świadomości ogółu istnieją dwa stereotypy nauczyciela. Nauczyciel funkcjonuje więc jako urzędnik państwowy, który ma wyjątkowe przywileje (18-godzinny tydzień pracy, ferie, wakacje) lub jest obywatelem drugiej kategorii, synonimem życiowego nieudacznictwa, braku inicjatywy, niepoprawnego marzycielstwa, nikomu niepotrzebnego idealizmu. Środki masowego przekazu nigdy nie były przychylnie do nauczycieli nastawione. Celuje w tym zwłaszcza radiowa „Trójka”, gdzie młodzieżowe autorytety wyrażają swój negatywny stosunek do szkoły jako instytucji lub konkretnych placówek, a nawet poszczególnych osób.

Celowo nagłaśnia się wszelkie potknięcia, błędy dyrektorów i wychowawców, tak jakby przedstawicielom innych zawodów nigdy nie zdarzały się pomyłki.

Dziecko ucieka z domu — winny jest nauczyciel, uczeń ma jedyńki — nauczyciele nie potrafili go zainteresować swoimi przedmiotami, młodzież wchodzi na drogę przestępstwa — znowu szkoła obciążona jest odpowiedzialnością.

Program III Polskiego Radia triumfalnie obwieścił wakacje: „Nareszcie koniec męczarni”.

IWONA MARIA SZCZEPANIAK

cerskie lata, żwawym krokiem prowadzi „wesołą” gromadkę. Znajomi są zaskoczeni, ale sądząc po ich minach także spragnieni towarzystwa.

Panowie idą oglądać tegoroczne prace przy budowie domu sąsiada, a żony zajmują się przygotowaniem „czegoś na ząb”. Przyjaciele raczą gości czymś bogatym, „małym co nieco”. Po wymianie plotek rodzina decyduje się na powrót do domu. Panom troszeczkę ciężiej, aniżeli pozostałym członkom rodziny wsiąść do samochodu, lecz są to przecież znakomici kierowcy... Jak określił jeden z nich: — nie po tylu drinkach się jechało... I tak dobiega końca jeden z dwóch świątecznych dni. Jeżeli nie zdarzyło się nic nieprzyjemnego po drodze, jest miłe wspomniany przez najbliższy tydzień.

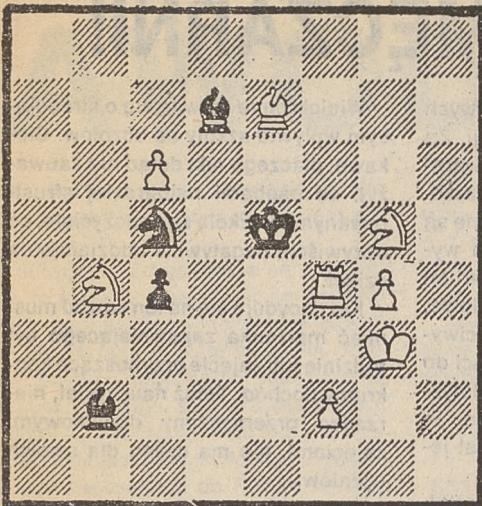
Mniej więcej tak wyglądają weekendy większości warszawiaków. Przede wszystkim są straszliwie nudne, co sprawia, że mając do dyspozycji tętniącą życiem przestrzeń, ograniczamy się do rozłożenia leżaków, czy stolika turystycznego. Taka „aktywność” ruchowa nie zapewni nam pełnego odprężenia. Teraz w dobie tylu zmian, warto też pomyśleć o dobrych zmianach i dla naszego organizmu.

OLA SZULIA
Warszawa

SZACH KRÓLOWI

pod redakcją BOGDANA KUSIŃSKIEGO

Zadanie nr 29



Mat w dwóch posunięciach

Białe: Kg3, Wf4, Sb4, Sg5, Ge7, c6, f2, g4
Czarne: Ke5, Gb2, Gd7, Sc5, c4

Rozwiązanie zadania należy nadsyłać w ter-

minie 14-dniowym pod adresem redakcji.

Rozwiązanie zad. nr 14

1. Wc4 — c7!

Rozwiązanie zad. nr 15

1. Wf4 — e3!

Rozwiązanie zad. nr 16

1. Hg2 — h3!

Rozwiązanie zad. nr 17

1. Wd4 — f4!

Za prawidłowe rozwiązania nagrody wylosowali: za zad. nr 14 — Filomena Olszewska z Bydgoszczy i Andrzej Wasiak z Zawiercia; za zad. nr 15 Jan Wrona z Pleskówa i Krzysztof Korpala z Wiktorówki; za zad. nr 16 — Eugeniusz Szlak z Łodzi i Zbigniew Lasota z Legnicy; za zad. nr 17 — Józef Musiał z Unisławia i Ryszard Nowosad z Kraśnika. Gratulujemy!

Uwaga ! Subskrybenci

ENCYKLOPEDII PEDAGOGICZNEJ !

Zgodnie z zapowiadaną pod koniec czerwca 1993 r. ukazała się **ENCYKLOPEDIA PEDAGOGICZNA**.

Subskrybenci mogą wykupywać egzemplarze dopłacając 200 tys. złotych w Domu Książki w którym wykupili talony. Mogą też przysłać oryginały talonów do Fundacji INNOWACJA (02-548 Warszawa, ul. Grażyny 13) z ksero dowodu wpłaty na konto Fundacji BGŻ Centrala O/ Warszawa nr 800062-194826-271 w wysokości 200 tys. złotych.

Fundacja prześle egzemplarz **ENCYKLOPEDII PEDAGOGICZNEJ**, a odbierający opłaci koszty przesyłki przy odbiorze.

C-35

Wydawnictwo "GŁOS NAUCZYCIELSKI" Biuro EBO

- oferuje w sprzedaży wysyłkowej następujące wydawnictwa
- poz. 1 "ODKRYJ EUROPE" Wspólnota 12 państw. Książka zalecana przez Ministra Edukacji Narodowej. Wpisana do zestawu książek pomocniczych do nauki geografii, historii i wiedzy o społeczeństwie na poziomie klas starszych szkoły podstawowej. Numer w zestawie 175192. Format A4, cena 1 egz. 22 000 zł
 - poz. 2 "CO WARTO WIEDZIEĆ O WSPÓLNOCIE EUROPEJSKIEJ" broszura przeznaczona dla szerokiego kręgu odbiorców, którzy pragną pogłębić swoje wiadomości, zdobyć dodatkowe informacje o funkcjonowaniu Wspólnot Europejskich i postanowieniach układu stowarzyszeniowego z Polską. Polecamy tę pozycję szczególnie uczniom szkół ponadpodstawowych. Format B5, cena 1 egz. 22 000 zł
 - poz. 3 "SEKS ? OJEC, CO TO JEST ?" kolorowa broszura dla młodzieży, a w niej między innymi: Anatomia człowieka, Żeby kochać mądrze, Dojrzwienie, Przemoc seksualna, Antykoncepcja i zapobieganie chorobom. Format A5, cena 1 egz. 12 000 zł
 - poz. 4 "PRZEZ KRAJ LUDZI, ZWIERZĄT I BOGÓW" Światowy bestseller tłumaczony na 15 języków świata. Utwór o dużym napięciu, autentyczne świadectwo kogoś, kto sam walczył z bolszewikami, zyskał zaufanie barona Ungerna, przyjaciół mongolskich lamów, przemierzał tajgę, góry i pustynie, których nie było jeszcze na mapach. Format A5, cena 1 egz. 17 000 zł
 - poz. 5 "BOHATEROWIE WIELKIEJ PRZYGODY" książka będąca fascynującym opisem losów i awanturnych przygód sławnych polskich podróżników. Format A5, cena 1 egz. 20 000 zł
 - poz. 6 "SZKOLNA OJCZYŻNA POLSZCZYŻNA" kasetka wideo z sześcioma wykładami prof. J. Miodka. cena 1 egz. 200 000 zł
 - poz. 7 "KWIATY W MIESZKANIU" kasetka wideo - poradnik dla każdego, od lat siedmiu do lat 107. cena 1 egz. 200 000 zł

Co zrobić, by otrzymać powyższe pozycje w sprzedaży wysyłkowej ? Należy przesłać pod adres: 00-389 Warszawa, ul. Smulikowskiego 6/8 skr. 900 GŁOS NAUCZYCIELSKI Biuro EBO zamówienia wraz z potwierdzeniem dokonanej wpłaty sumy wartości zamawianych wydawnictw na konto: Wydawnictwo "Głos Nauczycielski" PEK S.A. III Oddział Warszawa nr rachunku 370015-977269-136. Każdemu zamawiającemu powyżej kwoty 500 tysięcy przesyłamy wydawnictwa za pośrednictwem "SERVISCO" - termin dostarczenia 3 dni do zamawiającego. Zamówienia do kwoty 400 realizujemy za pośrednictwem poczty - termin dostarczenia 14 dni do zamawiającego.

C E B O / M S

OGŁOSZENIA DROBNE

Dyrekcja Zespołu Szkół Zawodowych w Wyszowie zatrudni od 1 września 1993 r. nauczycieli języka angielskiego i elektroniki. Zapewniamy dobre warunki pracy i mieszkanie M-4. Zgłoszenia Zespół Szkół Zawodowych w Wyszowie, ul. 1 Armii Wojska Polskiego 89, 07-200 Wyszów, tel. 54-27 i 48-61. D-164.

Wójt Gminy w Morzeszynie woj. gdański zatrudni nauczyciela języka angielskiego lub niemieckiego. Zapewniamy komfortowe mieszkanie w nowym Domu Nauczyciela. D-165.

Dyrekcja Liceum Ogólnokształcącego w Kłodawie, woj. konińskie zatrudni z dniem 1 września 1993 r. nauczyciela fizyki. Zapewniamy mieszkanie. D-166.

Wytwórnia Mebli Szkolnych 62-300 Września

OFERUJE:

meble szkolne
sprzęt sportowy

po niskich cenach

Zapewniamy transport. Większe zamówienia dostarczamy bezpłatnie.

Zamówienia kierować:

WYTWÓRNIA MEBLI SZKOLNYCH
62-300 Września, ul. Słowackiego 48
tel. 70-66/ 361-350

A-6

Dyrektor

Liceum Ogólnokształcącego w Węgorzewie (woj. suwalskie) zatrudni małżeństwo nauczycielskie ze specjalnością języki obce: angielski lub niemiecki.

Burmistrz miasta zapewnia mieszkanie M-4.

Bliższe informacje można uzyskać w LO tel. 723-67.

A-26



IDENTYFIKATORY IDENTYFIKATORY IDENTYFIKATORY

Nowa forma oznakowania na uczelniach. w szkołach.

Estetycznie wykonane identyfikatory osobiste, legitymacyjne - z grafiką zleconą oraz opracowaną w naszym biurze bezpłatnie.

Podstawowe wymiary:
wys. 60mm x szer. 95mm
wys. 54mm x szer. 86mm
wys. 80mm x szer. 120mm

Przyjmujemy zlecenia na każdą ilość.

Już od 30 sztuk rabat !!!

Zainteresowanym wysyłamy wzory i katalog wraz cenami.

Zamów już dzisiaj !

Biuro EBO
00-389 Warszawa skr. 900
ul. Smulikowskiego 6/8
tel. 2 7 - 6 6 - 3 0
fax. 2 6 - 3 4 - 2 0
DO KOŃCA WRZEŚNIA
SPECJALNY RABAT 5%
CZEKAMY NA CIEBIE !

CZYTELNICY MAJĄ GŁOS

TROPAMI BOHATERÓW SIENKIEWICZA

Zarząd Główny Towarzystwa im. Henryka Sienkiewicza wręczył znanemu historykowi i profesorowi z wydziału MARCELEMU KOSMANOWI Nagrodę Główną. Poznański badacz stanął więc w pocście m.in. takich laureatów, jak: Barbara Wachowicz, Ignacy Moś, Konrad Górski.

Decyzję o tym wyróżnieniu podjęto uwzględniając dokonania Profesora w dziedzinie sienkiewiczologii. Marcelem Kosman jest bowiem autorem licznych prac poświęconych realiom powieści historycznej, w tym książek pt. „Skrzetuski w historii i legendzie”, „Na tropach bohaterów Trylogii” oraz „Na tropach bohaterów «Krzyżaków» Sienkiewicza”. Wytrawny uczony uczestniczy we wszystkich konferencjach naukowych organizowanych przez niestrudzonego sienkiewiczołoga prof. zw. Lecha Ludorowskiego (Lublin), prezentując swoje naukowe badania, spostrzeżenia i odkrycia. Z punktu widzenia historyka pomaga wyjaśnić na czym polega fenomen twórczy niepospolitego autora powieści historycznej.

Marcel Kosman pracuje obecnie w Wielkopolsce (UAM w Poznaniu), chociaż pochodzenie Jego wiąże się z Kujawami. Urodził się bowiem w Izbicy Kujawskiej, tam też rozpoczął pracę w gimnazjum (po ukończeniu dwóch fakultetów: historii i pedagogiki w UAM). W latach 1963-1966 odbywał studia doktoranckie w Instytucie Historii UAM. W kształtowaniu

warsztatu badawczego wiele zawdzięcza swoim mistrzom — Henrykowi Lowmiańskiemu i Gerardowi Labudzie. W grudniu 1967 r. rozpoczął pracę w Instytucie Historii PAN (Zakład Historii Pomorza w Poznaniu) na stanowisku adiunkta, a po przeprowadzonej habilitacji w 1971 r. — docenta. W lutym 1976 r. przyjął propozycję objęcia dyrektorstwa Biblioteki Kórnickiej PAN i funkcję tę pełnił do wiosny 1982 r. W styczniu 1989 r. uzyskał tytuł profesora zwyczajnego.

Obok badań nad powieścią historyczną i kroczenia tropami bohaterów Sienkiewicza, zajmuje się problemami Litwy, którym m.in. poświęcił kilka pozycji m.in.: „Chryścianizacja Litwy”, „Litewska Jednota Ewangelicko-Reformowana od początku XVII w. do 1939 r.” oraz „Zmierzch Perkuna czyli ostatni poganin nad Bałtykiem”.

Tegoroczne wyróżnienie Marceli Kosma traktuje jako zobowiązanie do dalszej pracy. Wyraził chęć służenia sprawom upowszechniania wiedzy, w tym także z zakresu sienkiewiczologii. Podkreślił znaczenie „Trylogii” w życiu osobistym. Z tej okazji pragnę złożyć Laureatowi wyrazy najgłębszej czci i hołdu oraz zadeklarować słowa Sienkiewicza z „Listu otwartego do Polaków”: „Tylko przez naukę i oświatę stać się możemy z czasem silnym, prawym, rozumnym i rozumnie miłującym ojczyznę narodem”.

MALGORZATA KOWALIK

filolog

KONKURSY NA ...NAUCZYCIELI

Spora liczba tegorocznych absolwentów uczelni pedagogicznych nie stety nie znalazła dla siebie miejsc pracy. Zmniejszyły się bowiem, i to znacznie, możliwości zatrudnienia w szkołach. Ba. W wielu nawet zwalnia się i pracujących. Wobec „nadprodukcji” kandydatów na nauczycieli dyrektorzy szkół w trosce o zatrudnienie dobrego pracownika chwytają się nie stosowanej dotychczas w oświacie metody przyjmowania: organizują konkursy. Oczywiście nie wszyscy. Niektórzy po prostu nie raczyli nawet przyjmować podań, a zatrudniali „swego” bądź pierwszego zgłaszającego się.

Karłowomne zabiegi znalezienia pracy na etacie nauczyciela zaczynają też dotyczyć i absolwentów collegów. I oni już będąc na drugim roku zaczynają rozglądać się za pracą.

Sama idea konkursu jest ze wszelkiego miar godna akceptacji i propagowania jej. Tą drogą mają być wyeliminowani słabsi, a przyjęci lepsi. Tę metodę stosuje się w wielu państwach, a nade wszystko w państwach anglosaskich. U nas w okresie transfor-

macji wszystko jednak jest w sferze eksperymentu.

MEN ani kuratoria w kwestii zatrudnienia nie wypracowały żadnych koncepcji przerzucając tę sprawę na barki dyrektorów. Toteż dyrektorzy najczęściej sami decydują o składzie komisji i sposobie przeprowadzania egzaminu konkursowego.

W jakim czasie, kto i jak powinien przeprowadzać konkurs? Tu sugeruje się władzom oświatowym, by przeprowadzane były przede wszystkim w szkolnictwie średnim w maju bądź w czerwcu, gdy trwa tzw. ruch służbowy. Wtedy to można pozwolić sobie na przeprowadzenie przez ubiegającego się o pracę lekcji z młodzieżą: oceniania umiejętności metodycznych; znanstwa wiedzy merytorycznej kandydata.

W kespole konkursowym powinni zasiąść specjaliści, a nade wszystko metodycy z wojewódzkiego ośrodka metodycznego, wizytatorzy kuratorscy, pracownicy naukowcy z WSP, wykładowcy collegu, przedstawiciele komitetów rodzicielskich, trójek klasowych i oczywiście dyrektorzy szkół.

Oprócz hospitowanych zajęć można byłoby przeprowadzić i rozmowy z kandydatem. Pytania jurorów-egzaminatorów powinny być przemyślane, dotyczące konkretnych sytuacji dydaktycznych i wychowawczych. Oceny jurorów muszą być jawne. Przegrający powinni wiedzieć, czemu nie znalazł pracy. Szkoła jest przecież instytucją jawną i publiczną. Wszyscy troszczymy się o jej rangę, płacimy za jej funkcjonowanie.

dr EUGENIUSZ KOSIK

pracownik naukowy

Politechniki Świętokrzyskiej

EBO BIURO OGŁOSZEŃ I REKLAMY

00 - 389 Warszawa, ul. Smulikowskiego 6/8 skr. 900
tel. 27 - 66 - 30 fax. 26 - 34 - 20.

Zasady zamieszczania reklam i ogłoszeń w tygodniku "Głos Nauczycielski": zlecenia przyjmujemy do druku na co najmniej 17 dni przed realizacją na podstawie pisemnego zlecenia, zawierającego m.in. numer identyfikacji podatkowej oraz zobowiązanie do zapłaty za druk reklamy bądź ogłoszenia drobnego na podstawie

otrzymanej faktury VAT w terminie 14 dni od daty jej wystawienia.

Stawki podatku VAT od ogłoszeń i reklam: 22% - dla firm płacących podatek VAT; 7% - dla firm zwolnionych z płacenia podatku VAT w wysokości 22% oraz osoby fizyczne. Zniżki: 10% za zapłatę gotówką w biurze lub u akwizytora. Dopłaty: za zamieszczenie po za kolumną ogłoszeniową modułu A,B plus 80%, modułu C plus 50%. Bonifikaty z tytułu kontynuacji zlecenia dla modułów B, C, C1, C2, W 5% za 3 i więcej, 10% za 5 i

więcej, 15% za 10 i więcej, 20% za 15 i więcej, 25% za 20 i więcej.

Ceny reklam (bez podatku VAT): Moduł A - 500 tys. zł, Moduł B - 900 tys. zł, Moduł C - 1 700 tys. zł, Moduł W - 7 mln zł, kolumna red. cz.-b. 24 mln zł, kolumna red. z kol. zielonym 28 mln zł, Moduł C1 - 3 500 tys. zł, Moduł C2 - 8 mln zł. Ogłoszenia drobne do 20 słów - 150 tys. zł, za każde następne 20 słów - 200 tys. zł. Bezpłatne ogłoszenia do 15 słów do rubryk: szukam pracy, serdeczności, matrymonialne - xero dowodu osob.

PYTAJ!

NA TEJ STRONIE ZNAJDZIESZ ODPOWIEDŹ

STAŁY DYŻUR — PONIEDZIAŁEK, GODZ. 11—14
TELEFON 27-66-30

REDAGUJE SŁAWOMIR LEWANDOWSKI

„PRZEJŚCIE NA EMERYTURĘ”, A NAGRODA JUBILEUSZOWA

Jestem dyrektorem szkoły. Mam problem (a właściwie dwa problemy) z interpretacją przepisów o nagrodach jubileuszowych. Z końcem roku szkolnego stosunek pracy z dwiema nauczycielkami-emerytkami ulegnie rozwiązaniu. Do 35 lat pracy będzie brakowało im kilku miesięcy (mniej niż 12). Czy należy wypłacić im „jubileuszówkę”? Jedna z nich pracowała w tym roku na pełnym etacie, mając zawieszoną emeryturę, natomiast druga przez cały czas korzystała z emerytury, a w szkole była zatrudniona tylko na kilka godzin. (A.B — woj. olsztyńskie)

Par. 9 zarządzenia ministra pracy i polityki społecznej z 23 grudnia 1989 r. w sprawie nagród jubileuszowych (M.P. nr 44, poz. 358) stwierdza, że w razie rozwiązania stosunku pracy z powodu przejścia na emeryturę, pracownikowi, któremu do nabycia prawa do nagrody jubileuszowej brakuje mniej niż 12 miesięcy, licząc od dnia rozwiązania stosunku pracy, nagrodę tę wypłaca się w dniu rozwiązania stosunku pracy.

Problem przedstawiony w liście sprowadza się do wyjaśnienia co oznacza pojęcie „przejście na emeryturę”, inaczej mówiąc, czy można przejść na nią więcej niż jeden raz.

W świetle ustalonej linii orzecznictwa (np. wyrok Sądu Najwyższego z 10 stycznia 1989 r., sygn. akt I PRN 54/88) każdorazowe zakończenie stosunku pracy związane z podjęciem korzystania z emerytury powinno być traktowane jako przejście na emeryturę.

Powołując się na powyższe stwierdzenie wolno uznać, że osoba, która pracując miała zawieszoną emeryturę (a więc w rzeczywistości w danym czasie z niej korzystała), może powoływać się na par. 9 wspomnianego zarządzenia.

Odmienne sytuacja przedstawia się w przypadku nauczycielki jedynie „dorabiającej” do emerytury. Przez cały czas korzysta ona z emerytury, trudno byłoby więc tu mówić o przejściu na emeryturę. Pracujący emeryt może oczywiście otrzymać nagrodę jubileuszową, ale tylko wówczas, gdy wymagany okres upłynie w czasie trwania jego zatrudnienia.

Podsumowując można stwierdzić, że pierwsza z opisywanych nauczycielek powinna mieć wypłaconą nagrodę jubileuszową przed terminem. Brak jest natomiast podstaw, by to samo powiedzieć o drugiej nauczycielce — jej „jubileuszówka” teraz nie przysługuje.

MIESZKANIE PO ROZWODZIE

Czy w wyroku rozwodowym sąd powinien orzec także o sprawach związanych z mieszkaniem? Jakimi kryteriami należy kierować się w tym przypadku? (G.L. — woj. toruńskie)

Art. 58 kodeksu rodzinnego i opiekuńczego przewiduje, że jeżeli małżonkowie zajmują wspólne mieszkanie, sąd w wyroku rozwodowym orzeka również o sposobie korzystania z tego mieszkania przez czas wspólnego w nim zamieszkiwania rozwiedzionych małżonków.

W wypadkach wyjątkowych, gdy jeden z małżonków swym rażąco nagannym postępowaniem uniemożliwia wspólne zamieszkiwanie, sąd może nakazać jego eksmisję na żądanie drugiego małżonka.

Na zgodny wniosek stron sąd może w wyroku orzekającym rozwód orzec też o podziale wspólnego mieszkania albo o przyznaniu mieszkania jednemu z małżonków, jeżeli drugi małżonek wyraża zgodę na jego opuszczenie bez dostarczenia lokalu zamiennego lub pomieszczenia zastępczego. Wszystko to może oczywiście nastąpić pod warunkiem, że podział mieszkania bądź jego przyznanie jednemu z małżonków są możliwe.

Orzekając o wspólnym mieszkaniu małżonków sąd uwzględni przede wszystkim potrzeby dzieci i małżonka, któremu powierza wykonywanie władzy rodzicielskiej.

TERMIN ZAKOŃCZENIA URLOPU WYCHOWAWCZEGO

Rok temu rozpoczęłam korzystanie z urlopu wychowawczego. Chciałam, żeby kończył się on w czerwcu br. Dyrektor uznał, że jest to niemożliwe, gdyż termin zakończenia urlopu wychowawczego musi podobno przypadać na 31 sierpnia. Czy takie stanowisko jest zgodne z przepisami? — woj. leszczyńskie).

Czytelniczka nie precyzuje, kiedy dokładnie rozpoczął się jej urlop wychowawczy oraz nie wyjaśnia, w jakiej placówce pracuje (feryjnej czy nieferyjnej). Brak tych danych wymaga rozpatrzenia kilku przypadków.

Nauczycielki z placówek nieferyjnych korzystają z urlopu wychowawczego według zasad odnoszących się do ogółu zatrudnionych. Mogą więc one termin zakończenia tego urlopu ustalać w sposób dowolny. Trzeba tylko wiedzieć, że w razie korzystania z urlopu wychowawczego dłuższego niż 1 miesiąc pracownica nabywa z dniem podjęcia pracy prawo do urlopu wypoczynkowego za dany rok kalendarzowy w wymiarze proporcjonalnym do okresu pozostałego do końca roku.

Sprawa bardziej komplikuje się w przypadku nauczycielek zatrudnionych w szkołach, w których organizacja pracy przewiduje ferie szkolne. Rozporządzenie Rady Ministrów z 17 lipca 1981 r. w sprawie urlopów wychowawczych (tekst jednolity — Dz.U. nr 76 z 1990 r., poz. 454, późn. zm.) poświęca tej grupie zawodowej kilka odrębnych paragrafów.

Nauczycielki z placówek feryjnych nie mają pełnej swobody w wyborze terminu zakończe-

nia urlopu wychowawczego. Termin ten powinien przypadać na dzień poprzedzający rozpoczęcie roku szkolnego. Jeżeli jest to uzasadnione terminem zakończenia urlopu wychowawczego, jego wymiar i okres ulegają odpowiednio skróceniu, a na wniosek nauczycielki — odpowiednio przedłużeniu.

Regułą jest więc, że urlop wychowawczy nauczycielki placówki feryjnej powinien kończyć się 31 sierpnia. Odmienne należy jednak potraktować nauczycielkę pracującą ponad rok i rozpoczynającą urlop wychowawczy po 1 stycznia, lecz przed wakacjami. Termin zakończenia jej urlopu wychowawczego powinien przypadać na koniec zajęć szkolnych, czyli na jeden z ostatnich dni czerwca. Inne rozwiązanie powodowałoby, że nauczycielka ta traciłaby prawo do urlopu wypoczynkowego za dany rok kalendarzowy.

PROTOKÓŁ POWYPADKOWY

Po wypadku przy pracy, który zdarzył się w naszym zakładzie, wiele kontrowersji wywołało sporządzanie protokołu powypadkowego, szczególnie, że w samym zespole powypadkowym występowały rozbieżności zdań. Jakimi zasadami należało kierować się w takiej sytuacji przy wypełnianiu tego protokołu? (T.Z. — woj. legnickie).

Zgodnie z rozporządzeniem Rady Ministrów z 21 kwietnia 1992 r. (Dz.U. nr 37, poz. 160) po ustaleniu okoliczności i przyczyn wypadku przy pracy zespół powypadkowy przygotowuje tzw. protokół powypadkowy. Sporządza się go nie później niż w ciągu 14 dni od daty uzyskania zawiadomienia o wypadku według wzoru wprowadzonego wytycznymi nr 77 ministra pracy, plac i spraw socjalnych z 24 grudnia 1974 r. (Dz.U. MPPISS nr 17, poz. 34).

Jeżeli w toku ustalenia okoliczności i przyczyn wypadku wystąpią uzasadnione przeszkody lub trudności, które uniemożliwiają sporządzenie protokołu w przewidzianym terminie, to w treści protokołu należy podać przyczyny opóźnienia.

Członek zespołu powypadkowego ma prawo złożyć do protokołu zdanie odrębne, które powi-

nien uzasadnić. W przypadku rozbieżności zdań w zespole powypadkowym o treści protokołu decyduje kierownik zakładu pracy.

Do protokołu powypadkowego dołącza się protokoły przesłuchania poszkodowanego i świadków, pisemne opinie lekarza i innych specjalistów, szkice lub fotografie miejsca wypadku oraz inne dokumenty wskazujące okoliczności i przyczyny wypadku, a także zdanie odrębne członka zespołu powypadkowego oraz zastrzeżenia zgłoszone przez poszkodowanego pracownika.

Stwierdzenie w protokole powypadkowym, że dane zdarzenie nie jest wypadkiem przy pracy albo że zachodzą okoliczności, które mogą mieć wpływ na prawo pracownika do świadczeń przysługujących z tytułu wypadku, wymaga szczegółowego uzasadnienia i wskazania odpowiednich dowodów stanowiących podstawę takich stwierdzeń.

Zespół powypadkowy jest obowiązany zapoznać poszkodowanego pracownika z treścią protokołu powypadkowego przed jego zatwierdzeniem. Poszkodowany pracownik ma prawo zgłoszenia uwag i zastrzeżeń do ustaleń zawartych w protokole, o czym zespół powypadkowy obowiązany go pouczyć.

Protokół powypadkowy zatwierdza kierownik zakładu pracy niezwłocznie po sporządzeniu tego protokołu (nie później niż w ciągu 5 dni). Jeżeli do treści protokołu zostały zgłoszone zastrzeżenia przez poszkodowanego pracownika lub protokół ten nie odpowiada warunkom określonym w rozporządzeniu, kierownik zakładu powinien zwrócić nie zatwierdzony protokół w celu wyjaśnienia i uzupełnienia go przez zespół powypadkowy.

Zatwierdzony protokół powypadkowy zakład pracy niezwłocznie doręcza poszkodowanemu pracownikowi, pouczając go o sposobie i trybie odwołania. Protokół dotyczący wypadków śmiertelnych, ciężkich i zbiorowych należy niezwłocznie doręczyć także właściwemu terenowo organowi Państwowej Inspekcji Pracy.

Protokół powypadkowy wraz z załącznikami przechowuje się w aktach zakładu pracy przez 10 lat.

CZYTELNICY

PYTAJĄ

„GŁOS NAUCZYCIELSKI”

NR 32/93

ODPOWIADA

Nasz tygodnik — jako jeden z nielicznych w kraju — udziela od lat bezpłatnych porad prawnych: telefonicznie, listownie, a także na miejscu w redakcji. Z całą satysfakcją będziemy nadal pomagać w trudnych sytuacjach życiowych tym wszystkim, którzy się do nas o to zwrócą, także korespondencyjnie. Pod jednym wszak warunkiem. Do każdej korespondencji z prośbą o udzielenie pisemnej odpowiedzi należy dołączyć oryginalny kupon zamieszczony obok na tej kolumnie.

GROSİK DO GROSİKA

Z LESZKIEM KOZAKIEM, dyrektorem Biura Prasy i informacji PKO BP, rozmawia Wojciech Sierakowski.

NOWE W NOWYM ROKU

— PKO już od dłuższego czasu przygotowuje się do wprowadzenia zmian w funkcjonowaniu Szkolnych Kas Oszczędności. Na czym miałyby one polegać?

— Szkolne Kasy Oszczędności w systemie Powszechnej Kasy Oszczędności istnieją już od początków lat trzydziestych, to jest ponad 70 lat. Ich rozwój, struktura są przedwojenne, ale podobnie ma się rzecz z ideą kolektywnego oszczędzania, na wspólnej, zbiorowej książeczce. Tak było w latach trzydziestych, gdy SKO wkraczały do szkół, taka też idea przyswiewalała kasom w latach powojennych. Kiedy to w wychowaniu generalnie nacisk legł na kolektywnych formach działania. Tych formach, które dziś są przedmiotem licznych uwag krytycznych. Nie jest przecież tajemnicą, że korzyści z takiej formy oszczędzania przypadały głównie kasie jako zbiorowości, natomiast, poszczególni jej członkowie osiągnęli znacznie mniejsze, indywidualne korzyści.

Wszelkie ewentualne zatem zmiany w funkcjonowaniu SKO powinny zmierzać w kierunku większego satysfakcjonowania poszczególnych dzieci-członków kas szkolnych. Takie

właśnie mamy zamiary wobec nich. Muszę jednak wyraźnie podkreślić, że w aktualnym stanie prawnym nie jest to takie łatwe do zrealizowania. Na przykład nasze prawo przewiduje, że samodzielną książeczkę oszczędnościową może mieć dziecko, które ukończyło 13 lat, w tej sytuacji po prostu nie można założyć indywidualnych książeczek dzieciom młodszym. Trudno zatem aktywniej też realizować zasadę większych korzyści indywidualnych dla najmłodszych członków SKO.

— Za to wyraźnie chyba rośnie rola szkolnych kas jako właśnie... zbiorowości uczniowskiej.

— Oczywiście, tym bardziej że jednak grupie dzieci łatwiej jest podejmować pewne działania wręcz gospodarcze. Choćby w postaci prowadzenia sklepików, klubów uczniowskich, które przynoszą wymierne, bo złotówkowe, korzyści. Proszę przyrzyć się np. SKO w małych miasteczkach: często one prowadzą bardzo bogatą działalność zarobkową, która niemożliwa byłaby do wykonania bez istnienia właśnie zespołu. Uważam zatem że rozbijanie takiej właśnie jednoci szkolnych kas nie wszędzie i nie zawsze ma sens. Bardziej korzy-

stne jest raczej szukanie nowych form uatrakcyjnienia indywidualnego uczestnictwa w SKO.

— Na jakie i czyje podpowiedzi w tym względzie oczekuje PKO?

— Naturalnie samych dzieci i opiekunów SKO! Jak wiadomo Kasy mają w szkołach swe statutowe gremia, „narady produkcyjne” itp., podczas których dzieciaki po prostu mówią opiekunom z ramienia PKO czego by chciały, jak widzą swoje Kasy. My to wszystko skrzętnie notujemy i w ten sposób powstaje coś w rodzaju spisu wniosków i propozycji pod adresem SKO i PKO. Ale dzięki temu na przykład wiemy również, że w ostatnim czasie w szkołach rozwinął się wręcz ruch zakładania sklepików uczniowskich i zarabiania w ten sposób pieniędzy....

— ... ale o kredyty dzieciaki — handlowcy, jeszcze nie występują?

— Owszem, mamy i takie wnioski. Wszystko jak zwykle zależy od aktywności SKO-wiczów i ich opiekunów, od pomysłowości, chęci zrobienia czegoś nowego.

— Wiem, że w nowej edycji konkursu „Dziś oszczędzam w SKO jutro w PKO” przewidziane zostały już pewne zmiany. Co zatem po nowemu będziecie oceniać w tym konkursie?

— Nową edycję konkursu, która rozpocznie się od września, chcielibyśmy prowadzić na stopniowo zmienianych nowych warunkach. Zmieniając kryteria i zasady mierzącymi właśnie do rozszerzenia oceny o elementy świadczące o większej samodzielności Kasy. I dlatego też będziemy prosili uczestników konkursu np. o dokładniejsze wydzielenie tego, co pochodzi tylko z wpłat na książeczki SKO od tego, co zostało zarobione dodatkowymi inicjatywami gospodarczymi. Punktować będziemy nie tylko umiejętność pozyskania sponsora, który wspomógł finansowo szkołę, ale i tę indywidualną zaradność dzieciaków. Ponieważ celem konkursu jest rozwijanie wiedzy ekonomicznej, wysoko oceniać będziemy także działania w tym kierunku, myśle tu o prowadzonych w szkołach quizach, konkursach, kołach fortun itp. Muszę powiedzieć, że spotykamy na rynku coraz więcej dobrych książek dla dzieci, które w sposób zrozumiały ilustrują procesy rynkowe, a które śmiało można wykorzystać właśnie w działalności SKO. A nam na tym też przecież zależy.

— Czy coś nowego ma PKO do zaoferowania nauczycielom — opiekunom SKO? W ich gronie nie od dziś mówi się przecież o potrzebie dodatkowego uhonorowania tej pracy z dziećmi.

— Proszę mi uwierzyć — w naszym gronie także od dawna zdajemy sobie sprawę z tego, iż wręcz niezbędne jest wprowadzenie tu istotnych zmian. Przyznać niestety jednak muszę, że nasze — bankowców — chęci są skutecznie hamowane przez obecne przepisy podatkowe. To właśnie osławiony popiwek nie pozwala PKO wdrożyć na przykład ryczałtów dla nauczycieli — opiekunów SKO. A o tym myślimy już od dawna.

Nie mogąc zrealizować pewnych pomysłów — próbujemy inaczej. Na przykład corocznie zwiększając kwotę środków przeznaczonych na nagrody dla pedagogów. W ubiegłym choćby roku nasz bank przeznaczył prawie 3 mld zł na różnego rodzaju nagrody i wyróżnienia dla nauczycieli. Ponadto PKO przekazał ponad 5 mld zł w różnych formach na nagrody dla Szkolnych Kas Oszczędności, na wyposażenie szkół, bibliotek. W tej kwocie mieszczą się przekazane przez PKO programy komputerowe, dofinansowanie wypoczynku dzieci i młodzieży, jak również upominki dla uczniów. Ale ponieważ, jak już mówiłem, naszym zadaniem jest szerzenie wiedzy ekonomicznej wśród dzieci i młodzieży, sponsorujemy także niektóre wydawnictwa, jak również olimpiady wiedzy ekonomicznej dla młodzieży szkół średnich.

Nauczycieli zaś pragnę zapewnić, że jak i oni czekamy na zmiany niektórych przepisów, które pozwolą nam kontynuować współpracę z opiekunami SKO w oparciu o zasady bardziej satysfakcjonujące obie strony.

— Słyszałem, że PKO zamierza także wprowadzić pewne nowe pomysły w „bankowej pracy” z dziećmi...

— Pracujemy obecnie nad koncepcją książeczek systematycznego oszczędzania „Wakacje”, które byłyby — właśnie dla dzieci — wyżej oprocentowane. Przymerzamy się także do wprowadzenia kart do bankomatów dla dzieci. Oczywiście dziecko nie byłoby właścicielem konta, a mogłoby jedynie korzystać z konta rodziców, którzy określiliby maksymalną kwotę, jaką ich pociecha mogłaby dysponować. Maluchy jednak miałyby swoje własne karty magnetyczne. Ale to jednak jeszcze nie dziś. Kiedy będą one gotowe niewątpliwie poinformujemy o tym wszystkich dzieci. — Dziękuję za rozmowę

PRZESTRZEŃ MYŚLI

W drugim z kolei felietonie o „Historii literatury polskiej” Czesława Miłosza (przekład Marii Tarnowskiej, „Znak” 1993) chciałbym przekazać jakąś część zawartych w tym dziele materiałów biograficznych i charakterystyk wybranych pisarzy. Chodzi mi nie jedynie o mało znane czy stanowiące odkrycie informacje, lecz także o sposób portretowania, o osobisty stosunek autora książki do niektórych twórców. Czesław Miłosz, jak już o tym wspominałem, nie godzi się na samo tylko rejestrowanie faktów, czego niektórzy oczekują od historyka literatury. Wiedza i erudycja ułatwiają mu osobiste związki z polskimi autorami, a obiektywizm badacza nie przeszkadza w wyrażaniu gustów i upodobań. Dlatego to się czyta!

Cieszy nas nawet taka niezbyt mądra zabawa, kiedy porównujemy ilość stron poświęconych różnym pisarzom. Pięć Żeromskiemu, a tylko półtorej Reymontowi. Jedna, powściągliwa w treści, o Nałkowskiej i trzykrotnie więcej o autorce „Nocy i dni”. Brzozowski zajmuje tu tyleż miejsca co Sienkiewicz — obaj po osiem stron.

Nie muszę przypominać, że jestem czytelnikiem, a nie naukowym recenzentem książki. Skorzystam więc teraz ze swobód felietonisty, przenosząc się z jednej epoki do innej i niekoniecznie licząc się z chronologicznym porządkiem.

Rozdział o dawnej polskiej literaturze w języku łacińskim otwiera dość szczegółowa biografia Kopernika. Przy czym spór o pochodzenie uczonego uważa Miłosz za absurdalny, wynikający z rzutowania w przeszłość późniejszego pojmowania świadomości narodowej. Czasy Mikołaja Kopernika — czytamy — znały tylko „lojalność względem terytorium, jakie ktoś zamieszkiwał”. Astronom pochodził — stwierdza Miłosz — z mieszczańskiego domu, w którym mówiono po niemiecku, ale jego rodzinne miasto Toruń, niemal zawsze opowiadało się przeciwko Zakonowi, a po stronie króla polskiego. Językiem studiów i dzieł Kopernika była łacina, a miejscem wszechstronnej działalności — Warmia. Tam pracował jako administrator, prawnik, ekonomista, lekarz i budowniczy fortów. Tam wreszcie (we Fromborku) mieściło się jego obserwatorium. Wiemy o tym. Pamiętamy jednak, że w pierwotnym zamiarze książka Miłosza przeznaczona była dla cudzoziemców.

Może za to nie wszyscy pamiętamy, że pierwsi zaatakowali odkrycie Kopernika protestanci. W Elblągu na scenie swojego teatru szkolnego przedstawili niezjącego już sąsiada z Fromborka jako ciemne straszidło czy po prostu „Głupiego Mędrca”, bo taki tytuł nosiła ta „sztuka”. W omawianym rozdziale książki znajdujemy też informację, że Melanchton uznał „wyczyn pruskiego astronoma” za karygodne

szaleństwo, a Luter powtórzył takie wyzwisko pisząc, że „szaleniec ten chce całą wiedzę astronomiczną przewrócić do góry nogami”.

Zatrzymajmy się teraz przy wizerunku Reja. Czy ojca naszej literatury należy uznać za kogoś więcej niż przedstawiciela „dawnej wesołej Polski”? Niż „żartoka, opoja... plotkarza, człowieka o niewyparzonej języku i bluźniercy”, bo taką właśnie podobiznę autora „Krótkiej rozprawy...” utrwalili jezuici doby kontrreformacji. Miłosz się z tym, oczywiście, nie zgadza, chociaż przypomina, że Rej wzrastał jako młody dzikus, a jego ojciec był niepiśmiennym szlachcicem. Późniejsza praca nad sobą najpierw dworzanina, potem skrzętnego administratora własnych folwarków, wreszcie gorliwego działacza reformacji zrobiła swoje. Rej posiadał rozległą, choć chaotyczną wiedzę i pisarską sprawność. Na zawsze jednak pozostał człowiekiem pełnym kontrastów, w tym choćby widocznych, że nad wyraz pociągają go proste uroki spiżarni, stołu i kompanii, a do rygorów zmuszała protestancka gorliwość. Rozgadaniem pisarza Miłosz nie jest urzeczony, ale rozumie jego radość z „wyzwalania strumieni słów”, tych zwłaszcza z mowy potocznej XVI wieku.

Jakoś tak się składa, że autor omawianej książki okazuje szczególne zainteresowanie pisarzem, którzy żyli krótko, odchodząc koło trzydziestki. Należy do nich poeta późnego renesansu, Mikołaj Sęp Szarzyński. Mało znany, gdy chodzi o szczegóły biograficzne, sławny jako autor bardzo nielicznych wierszy, w dwadzieścia lat po śmierci wydanych przez brata. Są wśród nich sonety o przejmującej treści, które, zdaniem Miłosza, przyniosły Szarzyńskiemu „miano jednego z najlepszych polskich poetów wszystkich czasów”. (!) Także piewcy „ludzkiej trwogi i drżenia w obliczu zniszczenia i śmierci”.

Kontrastują z nim pod każdym względem dwaj wielbiciele rewolucji francuskiej, poeci późniejsi o dwa wieki. Portret pierwszego z nich, „młodziana piękno i posępno”, wisiał w Soplicowie. Był to Jakub Jasiński, generał powstania Kościuszki, poległy w obronie Warszawy w wieku trzydziestu trzech lat. Znany był jako autor frywolnych piosenek i szczerze jako bińskich wierszy przeciwko królom. Drugi — to Kajetan Węgierski, twórca, który płacił w swoim krótkim życiu wysoką cenę za talent, temperament i nienawiść do „możnych tego świata”.

Węgierskiego potępiano i bano się go jako mistrza pamfletu, libertyna i antyklerykała. Wiersze pisał świetne i nieprzejednane, obrażał w nich wiele wpływowych osobistości. Groziło mu za to uwięzienie, wołał więc uchodzić z Polski do Stanów Zjednoczonych. Wracając zatrzymał się w Londynie, gdzie ułożył tak złośliwą satyrę na księcia Walii, że znów musiał w po-

spiechu uciekać. Umarł na gruźlicę w Marsylii w wieku trzydziestu jeden lat. Przed śmiercią zdążył jeszcze napisać o swojej rozpaczliwej samotności, o tym, że nie oddał żadnej usługi „ojczyźnie, rodzejowi ludzkiemu, rodzicom...”

Na gruźlicę we Florencji w sto dwadzieścia kilka lat później (w 1911), w biedzie i spotwarzony przez rodaków, umierał Stanisław Brzozowski. Autora omawianej tu „Historii literatury polskiej” zdumiewa on skalą niebывałych możliwości, nie do końca zrealizowanych w 33-letnim życiu. Chodzi już nie tylko o to, że pochłaniał książki w siedmiu językach, znał prozaików rosyjskich na równi z filozofami Zachodu, że od ręki uporał się z Darwinem, Nietzschem i Marksem, lecz o to głównie, że wciąż stał się inny. „Jego błyskotliwy umysł — pisze Miłosz — był tak skomplikowany, a ewolucja tak gwałtowna, że niezwykłe trudno jest nadać go za wszystkimi przeobrażeniami tego człowieka, który nieustannie przetrwał nowe idee”.

Brzozowski zostawił po sobie rozległą twórczość filozoficzną, której współcześni nie rozumieli, świetną powieść „Sam wśród ludzi” i działające czasem jak bomba eseje: Wielbił energię, wolę, cudowność życia. Nienawidził dekadentów. Dorobek tego twórcy winien był przynieść mu uznanie lub sławę. Nie stało się tak, gdyż otaczała go albo zmowa milczenia, albo aura pomówień o współpracę z tajną policją carską.

Miłosz interpretuje tak zwaną „sprawę Brzozowskiego” następująco: „Niefortunne wykroczenie, jakie popełnił, mając dziewiętnaście lat (wziął drobną sumę pieniędzy z kasy związku studentów) faktycznie zrujnowało mu całe ży-

cie”. Gdy wkrótce potem ochrona aresztowała go za działalność socjalistyczną, miała w ręku tamten, bynajmniej nie polityczny atut i mogła Brzozowskiego szantażować. Sama też rozpuszcila pogłoski, że został jej agentem, a wrogowie polityczni skwapliwie podchwycili takie wersje. Wpływający w teczkową aferę pisarz śmiało się bronił do końca swoich dni. „W świetle wszystkich dostępnych dokumentów — stwierdza Miłosz — oskarżenie było fałszywe”. Niemniej i przeciwnicy pism Brzozowskiego okazali się wpływowi. Nawet na lewicy nie bardzo miał go kto bronić przeciw atakom prawicy...

Wszystko to (znów sięgniemy po cytaty autora książki) zmuszało młodego i tragicznego pisarza do „bycia armią jednego żołnierza”. Dopiero po 1956 roku został w kręgach literackich uznany „za największą potęgę umysłową w literaturze polskiej dwudziestego wieku”. Może wolno by go porównać z Leszkiem Kołakowskim?

Dzieło Miłosza jest jednym z dowodów na to, jak niekompletna jest myśl o oddzieleniu spuszczającego pisarza, od tego, czym byli w swoim czasie i otoczeniu, kim byli dla siebie, dla bliskich i wrogów. Trudno dziś na przykład czytać utwory Przybyszewskiego, ale o nim drukuje się książki. Jego myśl — dowodzi Miłosz — znacznie głębiej sięgała niż twórczość. Są udane i mniej udane wiersze Kasprzowicza; był „poetą nieuporządkowanym”, czasem przeczył sam sobie. Istnieje jednak imponujące „zjawisko Kasprzowicza”, jego droga z nędznej kujawskiej chałupy do profesorskiej katedry, do „Hymnów”, poświęconych dramatom istnienia, do liryków tańszych i „Księgi ubogich”.

Z żalem, i chyba tylko na dziś, odkładam książkę Czesława Miłosza. Ciągnie jednak taka przestrzeń myśli, szeroki świat literatury.

Rys. STOK



DZIŚ W STAROŻYTNYM RZYMIE

JAN TRYNKOWSKI

OPTIMUS PRINCEPS

DZIŚ 8 sierpnia (Rzymianie mówili: sześć dni przed idami sierpnia) w 117 r. (1876 lat temu), w mieście Selinus, leżącym w odległej prowincji Cylicji (na południowym wybrzeżu dzisiejszej Turcji), umarł cesarz Trajan. Władca ten przeszedł do historii jako „optimus princeps” — „najlepszy cesarz” i jeszcze przez długi czas Rzymianie swe tęsknoty za idealnym władcą ubierali w słowną formę życzenia pod adresem kolejnych panujących: „felicior Augusto, melior Traiano” — „bądź szczęśliwszy, od Augusta, lepszy od Trajana”. Czy rzeczywiście Trajan był władcą tak dobrym, trudno to dziś jednoznacznie stwierdzić, tym bardziej że źródła, którymi dziś dysponujemy są bardzo skąpe. Jakiś złośliwy przypadek sprawił, że panowanie tego właśnie władcy jest znacznie gorzej udokumentowane niż jego poprzedników czy następców.

Marcus Ulpius Traianus urodził się 18 września 53 roku w mieście Italica w Hiszpanii (dziś osada Santiponce 9 km od Sewilli), w rodzinie nie najznakomitszej, chociaż ojciec przyszłego cesarza był doświadczonym dowódcą, a nawet konsulem. A Trajan począwszy od 18 roku życia oddał się karierze wojskowej, po której sześciu lat później został cesarzem. Talenty dowódcze, organizacyjne, a zapewne i inne walory osobiste

sprawiły, że cesarz Nerwa adoptował go w październiku 97 r. dopuszczając jednocześnie do współrządów. Już wkrótce, 27 stycznia 98 r., po śmierci swego przybranego ojca, stał się niepodzielnym władcą Rzymu. W chwili objęcia rządów miał 45 lat, był w rozkwicie sił i prezentował się wspaniale: „i siła, i wysoki wzrost, i szlachetność głowy, i majestat oblicza, i do tego jeszcze kwitnący wiek męski i bujne włosy — zdobne, nie bez zasługi bogów, w przedczesne oznaki wieku podeszłego dla podkreślenia dostojności — czyż to wszystko nie pokazuje władcy z daleka”. Tak pisał Pliniusz Młodszy w swym „Panegiryku na cześć Trajana”. Jak wiemy jednak wygląd zewnętrzny to jeszcze nie wszystko. Trajana chwalał nie tylko sam Trajan, nagan prawie nie spotykamy, a jeśli są, to dotyczą spraw mało istotnych. Mówiono, że „brak mu było pełnego wykształcenia”, ale zaraz podkreślano, że „istotę każdej sprawy doskonale pojmował i znajdował praktyczne rozwiązanie”. Zwracano uwagę, że lubił wypić, ale stwierdzono, że miał przy tym bardzo mocną głowę i nigdy się nie upijał. Chwalono przede wszystkim za to, że starał się utrzymywać pozory tego, że liczy się z opinią senatu, tego ówczesnego parlamentu.

Na początku swego panowania uroczyście obiecał, że nie będzie karał

śmiercią ani konfiskatą majątku ludzi ze stanu senatorskiego i, jak mamy prawo sądzić, słowa dotrzymał. Faktem jest jednak, że rzeczywiste uprawnienia senatu były w praktyce coraz bardziej ograniczane przez concilium principis, radę cesarską skupiającą wysokich funkcjonariuszy, wyższych dowódców, wybitnych prawników i osoby wpływowe ze świata polityki czy kultury. To właśnie w tej radzie zapadały najważniejsze decyzje w sprawach polityki zewnętrznej i wewnętrznej, tu przygotowywano projekty decyzji, podsuwanych następnie senatowi do zatwierdzenia. W radzie cesarskiej rozpatrywano także sprawy drobniejszej wagi jak oskarżenia o korupcję, czy fałszerstwa dokumentów.

Prawdą jest, że Trajan położył kres powszechnej za rządów Domicjana (81—96), atmosferze strachu i szerzącej się praktyce donosów. Sam cesarz pisał: „pisma anonimowe przy żadnym przestępstwie miejsca mieć nie mogą. Jest to bowiem najgorszy sposób postępowania i sprzeczny z duchem naszych czasów”. Co to oznaczało dla współczesnych, zrozumiemy, gdy przeczytamy słowa Tacyty tak charakteryzującego okres rządów Domicjana: „Srożono się przeciw autorom i ich dziełom, urzędnikom poruczono zadanie, aby pisma najświetniejszych talentów spalono na forum. Sądzono, że tym ogniem wyłupi się głos narodu rzymskiego, wolność senatu i świadomość rodzaju ludzkiego, wypędzili ponadto nauczycieli filozofii i zesławszy na wygnanie wszelką szlachetną umiejętność, aby nigdzie nie uczciwego na drodze nie napotkać. Jak dawne pokolenia widziały skrajną wolność, tak my widzieliśmy skrajną niewolę, kiedy szpiegowaniem odebrano nam nawet wymianę słów i myśli.”

Wszystkiemu temu Trajan położył kres, a wszystkich drobnych donosicieli surowo osądzono i zesłano na bezludne wyspy. „Zasiedlone dotąd tłumami zesłanych senatorów, teraz zapelnili się zesłanymi donosicielami. Poddawszy ich podobnej karze, wstrzymałeś ich działalność nie tylko obecnie, ale i na zawsze”. Prawdą jest jednak i to, że chociaż ukarano drobnych donosicieli, to ci spośród senatorów, którzy splamili się podobną praktyką pozostali nietknięci...

Chwalono ogromnie skromność Trajana: „Nic bardziej go nie wyróżnia i stawia wyżej, jak to, że on sam uważa się za jednego z nas, że pamięta, iż sam jest człowiekiem, chociaż jednocześnie rządzi ludźmi”. Podkreślano, że nie chciał przyjąć władzy i uczynił to pod przymusem. „Odmawiałś przyjęcia władzy cesarskiej. A więc należało cię zmusić. Mocno bowiem postanowiłeś, że nie przyjmiesz władzy, chyba że zaszłaby konieczność”. Pytanie, ile w tym było faktycznej skromności, a ile zręcznej polityki? Akcentowano hojność cesarza wobec najbiedniejszych. W czasie jego panowania każdy z plebejuszy otrzymał w wyniku rozdawnictwa co najmniej 650 denarów (zapewne znacznie więcej), czyli trzy razy tyle niż za rządów Domicjana. Liczne, na wielką skalę prowadzone prace publiczne dawały najbiedniejszym zatrudnienie i stały zarobek. Wiedział najwyraźniej Trajan, że ludzie biedni, gdy mają pracę, nie mają czasu, by oceniać i krytykować istniejące niesprawiedliwości społeczne. Można by mnożyć różne opinie, czy dające się różnie interpretować fakty.

Dla pełnej oceny Trajana i jego rządów nie można jednak ominąć sprawy podstawowej — cesarz ten był przede wszystkim wojskowym, wybitnie utalentowanym dowódcą, toczącym w czasie swego panowania,

wielkie, agresywne wojny. Najważniejsze z nich to wojna z Dakami, która po dwóch krwawych kampaniach (101—102, 105—106), zakończyła się utworzeniem nowej prowincji, jedynej na północnym brzegu Dunaju oraz wojna z Partami (114—117), w czasie której cesarz umarł. Wojny te choć zwycięskie i działające na wyobraźnię współczesnych, miały dla cesarstwa bilans niekorzystny. Były bardzo kosztowne, tak w sensie materialnym, jak przede wszystkim ze względu na ogromne straty ludzkie. Wszystkie wojny, nawet te zwycięskie, oznaczały śmierć wielu ludzi.

Wiemy, że Italia była tak demograficznie wyniszczona ciągłymi zaciągami do armii, że następca Trajana, Hadrian musiał wydać całkowity zakaz rekrutacji do legionów z jej obszaru. Wojny poza stratami nie dawały właściwie nic. Utworzone na wschodzie nowe prowincje, Armenia i Mezopotamia, zostały zaraz po śmierci Trajana utracone bez wojny. Cesarstwo nie miało już siły, by je utrzymać. Prowincja Dacia przetrwała wprawdzie 165 lat, ale narażona na ciągłe ataki różnych plemion, więcej cesarstwu przyniosła kłopotów niż korzyści.

Podoba się nam dewiza panowania Trajana: „Chcę być takim cesarzem dla obywateli, jakiego chciałbym mieć cesarza będąc obywatelem”. Nie umiemy jednak znaleźć jednoznacznej odpowiedzi na pytanie, czy był dobrym cesarzem. Z pewnością nie był nim dla Daków, których wielu zginęło w obronie ojczyzny, a wielu pozostałych przy życiu obrócono w niewolę, czy też poddano różnym represjom.

Dzisiaj, gdy nie potrafimy ocenić zachodzących na naszych oczach wydarzeń, mówimy, że „oceni je historia”. Ocena zdarzeń z przeszłości też niestety nie należy do zadań łatwych.